

Samiećnik

ks. dr. Jana Bindóra

Opracował ks. senior
OSKAR MICHEJDA,
pastor w Trzyńcu :: ::

Część I.

Cena 7 Kcz.



1932

Nakładem Towarzystwa Ewangel. Oświaty Ludowej w Cz. Cieszyńie
Drukiem Kutzera i Spółki w Czeskim Cieszyńie

8617

Samiećnik

ks. dr. Jana Bindóra

Upracował
ks. senjor Oskar Michajda,
pastor w Brzyńcu.



Część I.



Cena 7 Kcz.



1932

Nakładem Towarzystwa Ewangel. Oświaty Ludowej w Czeskim Cieszynie.

Drukiem Kutzera i Sp. w Czeskim Cieszynie.

(1060131)

447 : 526

44 : 928



Ks. dr. Jan Pindór.

Przedmowa.

Wydając ten pamiętnik, Tow. Ew. Ośw. Lud. spłaca jak gdyby dług moralny wobec jego autora, który przez długie lata dawnemu Tow. Ew. Ośw. Lud. służył swą pracą. Dzięki jego pomocy mogło Tow. to wydawać corocznie swe premje, które rozszedłszy się w tysiącach egzemplarzy wśród ludu ewangelickiego na Śląsku wpłynęły bezsprzecznie bardzo wyraźnie na wytworzenie osobistości o dużej wartości moralnej.

Ks. dr. Pindór pisał pamiętnik ten w ostatnich latach swego życia, może nawet nie myśląc o tem, by praca ta doczekała się kiedyś druku. Tem pewnie tłumaczy się jego forma, nosząca na sobie wyraźne ślady pracy pośpiesznej i ślady wieku sędziwego. To też ci czytelnicy, którzy zdarzenia przedstawione w pamiętniku znają z własnego przeżycia, zauważą łatwo brak szerszego widnokreśgu w traktowaniu spraw, w których postać autora miała nie najwybitniejsze znaczenie.

Pamiętnik ks. dr. Pindóra nie przedstawia dlatego tej wartości, jaką posiada pamiętnik starego nauczyciela Kubisza. Jest zbyt osobisty a w końcowych częściach zbyt moralizatorski. Ale ks. dr. Pindór cieszył się przez długie lata taką popularnością na całym Śląsku a pamiętnik jego podaje tyle szczegółów z życia kościelnego naszego kraju, szczegółów, które po kilku latach pójdą w niepamięć, że godzi się, by utrwalić pamięć tak autora, jak i stosunków w jakich żył.

W przygotowaniu do druku doznał „Pamiętnik” tylko nieznacznej przeróbki. Usunęliśmy drobne ustępy, rozważania, które biegłemu mówcy w sędziwych latach same od siebie wprost spływały z pióra na papier, ale które dla całości były bez najmniejszego znaczenia, zmieniliśmy szyk zdań, usuwając łaciński styl autora i starając się położyć orzeczenie na właściwym miejscu — Ks. dr. Pindór władał bowiem biegle ję-

zykiem łacińskim i w listach do kolegów lubiał się nim posługiwać, usunęliśmy też kilka drobnych szczegółów z jego rodzinnego życia, nie mających również zasadniczego znaczenia. O ile było można staraliśmy się jednak oddać do druku pamiętnik tak, jak był napisany i tem tłumaczy się różnica między niniejszym pamiętnikiem, a ustępami wyjętymi z „Pamiętnika“ a wydanemi w roczniku 1929 „Głosów Kościelnych.

Ks. Oskar Michejda.

Dworek pod lipą.

Na podniosłym brzegu Lesznicy na Śląsku Cieszyńskim blisko kościoła katolickiego stał skromny dworek gospodarski. Dom mieszkalny był z drzewa, obok była stajnia dla koni i chlew dla bydła, oboje murowane. Powyżej stały stodoła na zboże i szopa na wozy, a nad wszystkimi temi budynkami na niewielkiem wzgórzu wznosiła się piękna wysoka lipa, sięgająca wierchołkiem niby pod obłoki. W cieniu jej gałęzi bawiły się dzieci, skacząc jak jagnięta po pięknej murawie, a czasami bydło pasło się tam w trawie, nim je pasterze w pole wypędzili. W miesiącu lipcu, gdy lipa kwitła i rozlewała szeroko wokoło swą woń, miliony pracowitych pszczoł ssały z jej kwiecica słodczyce miodu. Czasami, gdy nagle burza się zerwała, gięły się gałęzie pod naporem wiatru, trzeszczały konary, ale się nie złamały, tworząc zastonę osady. Tak lipa była godłem całego gospodarstwa, wierchołkiem swoim wskazując w górę, jak gdyby chciała mieszkańcom przypomnieć, że opieka nasza i pomoc najlepsza znajduje się w górze, u Pana zastępów.

W osadzie przebywała z pokolenia na pokolenie od wieków ta sama rodzina, uprawiając twardą, kamienistą ziemię i służąc Bogu w prawdzie i modlitwie. Za czasów poddaństwa gospodarz nie mógł według swej woli pracować na własnej roli, bo przez trzy dni w tygodniu obowiązany był do pracy na pańskim. Gdy w porannej chwili zjawił się sprawca, trzeba było konie zaprzęgać i jechać na obszary pańskie. Oprócz tego wymagały ustawicznej służby wojska przechodzące przez kraj, którym służyć trzeba było t. zw. forszponami, tak, że rolnik niekiedy nie znalazł tygodniami czasu do pracy na własnej roli. Wielu gospodarzy zniechęciło się tak temi trudnościami, że opuściwszy swe gospodarstwa, szukali pracy i chleba gdzieindziej. Tylko ci, co cierpliwie wytrwali na miejscu, doczekali się lepszych dni i doszli z czasem do dobrobytu.

W gminie mieszkali ewangelicy i katolicy. Nie było między nimi niezgody, gdzieniegdzie sąsiedzi różnego wyznania żyli tak spokojnie, że nikt nie byłby myślał, iż różnią się pod względem wyznania.

Właściciel opisanego gospodarstwa odznaczał się dwiema pięknymi cnotami. Pierwszą była pilność i pracowitość. Pierwszy codzień wstawał do pracy, trwał w niej od poranku aż do południa, a po krótkiej obiadowej przerwie, aż do wieczora. Drugą cnotą była jego pobożność i gorliwość

religijna. Droga do kościoła w Cieszynie wymagała dwóch godzin marszu, a jednak nie było ni niedzieli ni święta, w którychby nie był poszedł na nabożeństwo. W czasie postnym odbywały się w Cieszynie nabożeństwa piątkowe, i tych nie ominął nigdy. Oprócz tego wychodził zimową porą regularnie na targi do Cieszyna, które odbywały się każdej soboty. Nie było mu uciążliwością tyle razy chodzić do Cieszyna i zpowrotem.

Przy boku jego stała małżonka pobożna i pilna, dzieląc z mężem swoim radości i trudy całego życia aż do jego wieczora.

Starka Katarzyna żyła również modlitwą i pracą. Przytem była osobą bardzo dobrą. Ilekroć do jej izdebki wstąpiłem, zawsze czekała mię jakaś niespodzianka, to garnuszek ugotowanego mleka, to kromka chleba z masłem lub miodem; a gdy starsze dziecko gdzie spodnie zdarło lub naprawa ich była potrzebną, zawsze starka naprawiała szkodę, czyściła, pomagała, nie mówiąc o tem ostrzejszym rodzicom. Stąd miłość nasza do niej nie miała granic. Staruszki nasze często są tego zdania, że na świecie są niepotrzebne, gdyż i ręce do pracy są niezdolne i zdrowie zachwiane i ciąglej potrzebują opieki. Zdaje im się często, że są dzieciom i wnukom ciężarem. A jednak tak nie jest. Chociaż ręka pracować już nie może, do modlitwy jednak zawsze się składa, wzywając błogosławieństwa Bożego dla dzieci i wnuków — a błogosławieństwo Boże nie mniej niż praca i trud przyczynia się do szczęścia rodziny.

W domu mych rodziców mieszkała jeszcze jedna osoba, rodzona siostra mojego ojca, ciotka nasza Zuzanna. Była wprawdzie młodszą nieco od mego ojca, lecz pamięć moja zachowała jej obraz tylko jako obraz staruszki. Nie wyszła za mąż, gdyż była ułomną, kulała trochę i ciężko słyszała. Wyuczyła się szycia białej bielizny a w szczególności haftowania śląskiego stroju niewieściego i tak zarabiała igłą na chleb. Pracowała niekiedy sama, niekiedy miała grono dziewczyn naokoło siebie, które po ukończeniu szkoły przychodziły do naszej ciotki, by się poduczyć sztuki szycia. Bywało wtenczas w domu naszym gwarno, bo dziewczyny skore były do rozmów, śmiechu, śpiewały różne piękne śląskie pieśni ludowe i religijne.

Ciotka była dla mnie bardzo dobrą, kochała mnie miłością prawdziwie macierzyńską. Gdy mię rodzice skarcili, lub gdy spotkało mnie jakie zmartwienie, szukałem zawsze u niej ukojenia i pocieszenia. Ona też nie pozwoliła mi w niczem pokrzywdzić, stawała w mojej obronie i raczyła, czem mogła. Ja ją również czciłem i kochałem wiernie aż do śmierci. W rodzinach znajdują się często osoby pokrewne, samotne, zaliczające się jednak do grona rodziny. Świat o

nie nie dba, żyją w skromności, pełnią cicho swe obowiązki, są dla rodziny, brata lub siostry, prawdziwym błogosławieństwem. Same dla siebie nie szukają szczęścia ani rozgłosu, uważają się za szczęśliwe, gdy mogą się dla drugih poświęcić i gdy rodzinie brata lub siostry mogą świadczyć pomoc. Ilekroć widzę taką osobę, dziewczę lub wdowę, poświęcającą się rodzinie, w której żyje, zawsze mam wrażenie: Oto anioł Boży cichy i łagodny. Ja taką ciotkę miałem, cichą, pobożną, pełną poświęcenia, która do swej śmierci zawsze okazywała mi miłość. Pamiątkę jej w sercu mem zachowam, aż kiedyś powitam ją znowu przed Panem. A ponieważ takie osoby spotykamy w rodzinach dość często, chciałbym wszystkim dzieciom przypomnieć obowiązek wdzięczności i dodać wezwanie: Szanujcie sobie takie serca, darzcie je wdzięcznością. One są jak gdyby aniołem cichym w łonie rodziny, zawiązującym rany, pocieszającym serca. Cześć takim sercom poświęcenia godnym.

Wielkanoc.

Jakże dziwne i tajemnicze echo wywołuje to słowo w ludzkim sercu. W wielkanocnym czasie radują się starzy, bo Wielkanoc jest hasłem życia nowego, radują się dzieci, bo minęły czasy ograniczeń w domu i znowu można bujać po błoniach. Radują się zdrowi, bo pierś odycha znowu świeżem powietrzem, radują się słabi, bo wstępuje w ich serca nowa nadzieja zdrowia i siły. Oby też wypełniły się wszystkie nadzieje serc ludzkich. Wielkanoc jest hasłem życia i nadziei.

W czasie Wielkiego tygodnia powiązywano dzwony, by nie dzwoniły, bo w dzień śmierci Pana nietylko w przyrodzie, ale i w kościele panuje cisza. Lecz przecież trzeba było głosić światu, że nastało południe, że ktoś na mary został złożony, że trzeba iść na nabożeństwo. W naszych stronach posługiwano się w tym celu t. zw. klekotką, narzędziem zrobionem z drzewa, przy którym ręką wprawiano w ruch młotek bijący w deskę. Dla chłopców, którzy zwyczajnie klekotali, była to zabawka nielada. Umieli oni robić taki trzask, że trzeba było uszy zatulić, by nie oszaleć. Wszyscy się cieszyli, gdy w sobotę wielkanocną o godzinie 3 po południu znowu ozwały się dzwony, zwiastując światu nowinę zmartwychwstania Chrystusa Pana.

W niektórych okolicach panował u nas zwyczaj, że w W. Piątek wcześniej w nocy wychodzili ludzie do płynącej wody, rzeki lub potoka, by się tam obmyć. Nietylko ludzie szukali w płynącej wodzie oczyszczenia, prowadzono do niej nawet i bydło. Parobcy siadali na konie, pędzili do wody, by je tam świeżą wodą napoić i oczyścić zgrzebielcem; służące wypędzały

krowy, lub nosiły wodę rzeczną do stajni, by je napoić i oczyścić z brudu. Po miastach służba wstawiała wcześnie rano, wychodziła z dzbanami do płynącej wody i przynosiła ją do domu, by się gospodarze i rodzina cała mogła nią obmyć. Musiała to koniecznie być woda rzeczna. Skąd ten zwyczaj powstał i jakie jest jego znaczenie, niełatwo określić. Istnieje podanie, że woda zaczerpnięta z rzeki w Wielki Piątek ma leczniczą moc, tak dla człowieka, jak i dla bydła. Z tego powodu w niektórych domach przechowywano wodę tę w rozlicznych naczyniach, jak najdłuższy czas, używając jej do lekarstwa w wypadkach choroby, lub też jako środka do zabezpieczenia się od różnych chorób. Może być, że zwyczaj ten zawdzięcza swe powstanie umyciu rąk przez Piłata, który tem chciał dać znać, że za skazanie Jezusa na śmierć nie chce ponosić odpowiedzialności. Lecz również być może, że zwyczaj ten jest zabytkiem jakiegoś wiosennego obrzędu z czasów pogańskich ludu polskiego.

Szczególniejszym zwyczajem ludu ewangelickiego na Śląsku było poszczenie, to jest zupełne wstrzymanie się od jedzenia w dzień Wielkiego Piątku. Na poszczenie i podobne zewnętrzne zwyczaje Kościół ewangelicki nacisku nie kładzie, wychodząc z tego ewangelicznego założenia, że nie to, co wchodzi w usta, pokala człowieka, ale co wychodzi z ust. (Mat. 15, 11.) Zachował się jednak zwyczaj poszczenia w Wielki Piątek, i to w ten sposób, że ludzie wstrzymywali się od wszelkiego pokarmu i przystępowali powszechnie do Wieczerzy świętej.

Bardzo uroczystym świętem dla ludu naszego ewangelickiego na Śląsku była Niedziela Wielkanocna. I z nią połączone były najróżniejsze wierzenia ludowe. Istniało np. mniemanie, że słońce wschodząc w Niedzielę Wielkanocną, trzykrotnie podskakuje na wyraz radości z zmartwychwstania Jezusowego. W mych latach pacholących sprawa ta bardzo zajmowała moje myśli i pragnąłem niezmiennie widzieć te podskoki wschodzącego słońca; lecz sprawa ta nie udała mi się nigdy. Wioska nasza jest od strony wschodniej otoczona wysoką Czantorją. Gdy się więc u nas słońce pokazało, to było już wysoko na niebie. Trzeba więc było w porannej chwili udać się na górę, ale to było niebo zachmurzone, iż słońca wcale nie było widzieć, innym razem nie przebudziłem się dosyć wcześnie, by na czas stanąć na wierzchołku góry, w każdym razie tych słonecznych podskoków nie zobaczyłem.

O godzinie 9 rano wybrałem się z domu z rodzicami w drogę do kościoła w Goleszowie, odległego od nas o półtorej godziny drogi. Kościoły ewangelickie różnią się co do postaci od katolickich i prawosławnych stosownie do celu, któremu służą. Są one miejscem zgromadzenia zboru

do służby Bożej. Ołtarz jest miejscem, o którym w szczególnem znaczeniu można powiedzieć: „Przybliżcie się ku Bogu, a przybliży się ku wam.“ (Jak. 4, 8.) Do ołtarza przystępują wierni w najpoważniejszych chwilach życia, przy chrzcie, confirmacji, przy ślubie, w czasie pożywiania Wierzy świętej. Kazalnica jest miejscem głoszenia Słowa Bożego, które zajmuje w ewangelickim nabożeństwie najprzedniejsze miejsce. Potężny może być wpływ kazania na serce słuchaczy, gdy do zboru odezwie się uzdolniony, przedmiotem przejęty kaznodzieja, i z natury rzeczy wynika, że w Kościele ewangelickim powstało wielu słynnych kaznodziei w każdym narodzie i w każdym języku. Ksiądz ewangelicki musi z urodzenia mieć pewien talent wymowy, który udoskonala się przez doświadczenia życiowe. Bez wrodzonego talentu wymowy ksiądz ewangelicki nie będzie w stanie zadosyć uczynić swemu powołaniu i lepiej zrobi, gdy sobie obierze raczej inny zawód. W polskim kościele ewangelickim mieliśmy w nowszych czasach znakomitych mowców; nie wspominam żyjących, których jest dość znaczna liczba, nadmieniam tylko niektórych z pośród umarłych. Pierwsze miejsce zajmuje ks. Samuel Dąbrowski, były superintendent wileński, którego zbiór kazań słynie wszędzie, gdzie mieszkają polscy ewangelicy. Posiadamy różne zbiory kazań, lecz najprzedniejsze między niemi miejsce zajmuje jeszcze zawsze Dąbrówka, używana na Śląsku przez wieki całe przy domowych nabożeństwach. Drugim był ks. Wilhelm Raszke w Bystrzycy. Po nich należy wymienić złotoustego mówcę ks dr. Leopolda Otto, który z Warszawy przybył do Cieszyna i tu spędził 9 lat. Lud ewangelicki nazwał go nie księdzem, ale prorokiem, bo namaszczeni usty głosił Słowo Boże i trząsł po prostu, trząsł sercami słuchaczy. Między uczniami jego zajmuje zaszczytne miejsce ś. p. ks. Jerzy Badura, który przez długie lata był pastorem w Międzyborzu na Pr. Śląsku, i ks. Franciszek Michejda w Nawsiu. Daj Boże, by wszyscy znaleźli jak najwięcej gorliwych i zdolnych naśladowców.

Ś. p. ks. Terlitza, pastor w Goleiszowie i senjor śląski, piastował urząd duchowny w tym zborze przez przeszło 50 lat. Krasnomówstwem się nie odznaczał, ale my wszyscy byliśmy jednak słowami jego zachwyceni. Umiał sobie dobrocią i uprzejmością zjednać serca wszystkich. Był to człowiek, który zdaje mi się nieprzyjaciela nie miał, nikomu w drogę nie wchodził, jednał sobie umysły wesołością i powagą i w ten sposób prowadził je do dobrego. Znałem go przez długie lata, bo byłem jego uczniem, ale nie przypominam sobie, bym z jego ust słyszał jedno krzywe słowo. Za życia jego zaczęła się budzić wśród ludzi myśl narodowa, z początku nieśmiało, potem coraz głośniej. Że ks. Terlitza

nią się nie zapalał, to rozumiał każdy, pochodził przecież z Moraw i żył w zupełnie innych pojęciach. Lecz trzeba przyznać, że dla prądu tego miał zrozumienie, nigdy i nigdzie go nie potępiał, zmierzał tylko do tego, by wśród jego zborowników panowała zgoda i jedność.

Pożycie rodzinne ks. Terlitzy było bardzo piękne, przez co również oddziaływał na swój zbor. Małżonka jego Ludwika z Koczych, rozumiała szlachetne zamiary swego męża i dzieliła je z całego serca. Pani Terlitzowa była dobrym aniołem nie tylko domu i rodziny, ale i całego zboru. Wszystkich zborowników osobiście знаła, zajmowała się ich powodzeniem, w czasach ciężkich nosła im jak umiała pomoc i pociechę. Trudno powiedzieć, kogo zborownicy więcej kochali i uwielbiali, czy ks. Terlitzę, czy jego małżonkę. Sam byłem świadkiem pięknej sceny, świadczącej o czułości ich uczuć. Byłem u nich, gdy małżonkowie omawiali jakąś sprawę. Sprawa widocznie była poważna, gdyż zajęła całą ich uwagę. Naraz wpadli sobie wzajemnie w objęcia, oświadczając sobie wzajemnie: Tyś moja najmilsza, Tyś mój najdroższy. A nie byli wtenczas młodymi narzeczonymi, bo mąż liczył 70, a żona niewiele mniej. Do tego małżeństwo to zawarte było nie skutkiem wielkiej młodości lub dziewiczej miłości, lecz wśród dość dziwnych okoliczności. W sąsiednim Ustroniu był pastorem ks. Karol Koczy, mąż znany w swoim czasie na całym Śląsku. Był to człowiek inteligentny, lubiący figle i żarty. Miał kilka synów i córek. Z pośród tych, gdy ks. Terlitza przybył do Golezowa, jedna tylko, Ludwika była jeszcze niezamężna. Nowopowołany pastor goleszowski przybył i do Ustronia, by odwiedzić swego starszego sąsiada. Gdy zasiedli do stołu w poważnej rozmowie, Koczy woła niespodzianie swą córkę. Ledwie że weszła do izby, gdy Koczy wstaje i zupełnie poważnie oświadcza jej: „Oto pastor Terlitza, przyszedł, by prosić o twą rękę.“ To rzekłszy, wyszedł i na domiar zamknął drzwi na klucz. Młodzi ludzie widzieli się po raz pierwszy w życiu i z pewnością ani jeden ani drugi nie myślał o zaręczynach. W godzinę później zjawia się ojciec i pyta się: „Czyście się już porozumieli?“ Ks. Terlitza potwierdził pytanie, gdyż panna Ludwika w istocie mu się podobała i była dziewczyną nie tylko piękną, ale i bardzo szlachetną.

O ks. Koczym opowiadano dużo anegdot. Nadmieniam jedną, o której wiem, że zgadza się zupełnie z prawdą. W r. 1835 budowano jednocześnie dwa kościoły ewangelickie na Śląsku; jeden w Wiśle, gdzie pastorem był ks. Kupferschmid, drugi w Ustroniu. Był to jeszcze czas tolerancyjny, ewangelicy żyli w kraju nie jako równouprawnieni, lecz jako cierpiący, tolerowani obywatele kraju. Różne

były z tem połączone ograniczenia wyznaniowe, nie wolno było im budować kościołów, posiadać mogli tylko Domy modlitwy, bez wieży, bez wejścia od strony drogi, wyglądające jak duże domy prywatne. Koczy i Kupferschmid biorąc pod uwagę, że takie ograniczenia nie dadzą się na wieki utrzymać, budowali kościoły w ten sposób, że bez trudności można było dobudować wieże. Oba kościoły były jednocześnie gotowe. Poświęcenie kościoła w Wiśle odbyło się dnia 29 czerwca, w święto Piotra i Pawła, wśród wielkiej uroczystości, na którą zeszli się ewangelicy z całego kraju. W dzień św. Jakóba tego samego roku urządził zbor ustroniski uroczystość poświęcenia kościoła. Ks. Koczy postanowił dopiąć tego, by uroczystość ustroniska była pokazniejszą niż wiślańska, by jednak nie wypadła drogo. Chodziło mu o pozyskanie kapeli muzycznej garnizonu cieszyńskiego, która miałaby przy nabożeństwie grać. Grała ona i na Wiśle, lecz musiano zapłacić za to, jak na owe czasy, znaczną kwotę. Koczy takiej kwoty płacić nie chciał, muzykę jednak chciał mieć. W Cieszynie była komenda wojskowa; w południe komendant i oficerowie bywali pod Jeleniem na obiedzie. W dniach pogodnych podawano tam obiad nie w pokoju, ale przed hotelem, na rynku. Siedzi pewnego razu komendant przy obiedzie i widzi, że koło stołów krąży od dłuższego czasu jakaś dziwna figura, ubrana w dość dziwaczny ubiór; to zbliża się, to się oddala, jak gdyby chciała czegoś, a nie miała odwagi przystąpić do oficerów. Gdy te spacerowały trwały już dość długo, komendant zaciekawiony polecił jednemu z oficerów zapytać się dziwnego gościa, czego sobie życzy i kim jest. Okazało się, że był to znany powszechnie ks. Koczy, ubrany wcale nie według miejskiej mody. Zapytany o cel przybycia odpowiada: „Jestem pastorem biednego górskiego zboru, wybudowaliśmy sobie kościół i chcemy go w niedzielę poświęcić. Życzylibyśmy sobie wszyscy, by nam przy tej uroczystości przygrywała kapela wojskowa, lecz jesteśmy tak biedni, że ustanowionej taksy zapłacić nie możemy. Niechże pan komendant weźmie na nasze położenie wzgląd łaskawy.“ Komendanta ubawiła postać pastora (pastor ubierał się z reguły dość dziwacznie), ulitował się nad ustronianami i pozwolił, by muzyka wojskowa grała przy poświęcaniu w Ustroniu za bardzo zniżoną taksą. Gdy w kilka tygodni potem ks. ustroniski spotkał się z księdzem z Wisły, pyta się pierwszy drugiego: „Powiedz mi, bracie, ile Was kosztowała muzyka wojskowa?“ Gdy ks. Kupferschmid podał dość wysoką sumę, ks. Koczy, jak gdyby do siebie mówił: „No, nas to tyle nie kosztowało, mieliśmy to blisko bezpłatnie.“

Pani pastorowa Terlitzowa była córką tego figlarnego ks. Koczego z Ustronia. Można by przypuszczać, że małżeń-

stwo wśród tak niezwyklej okoliczności zawarte, nie będzie dobrem. Tymczasem małżeństwo to było niezwykle szczęśliwem.

O godzinie 11 dzwoniono na nabożeństwo. Zborownicy przybywający ze wszystkich stron stali dotychczas na trawniku przed kościołem, witając się z sobą i dzieląc się wiadomościami. Gdy rozległ się głos dzwonów, weszli do kościoła, zajmując swe miejsca w ławkach. Ścisk był znaczny. Najpierw usiedli starsi, o ile miejsca do siedzenia stało; młodzież musiała stać obok ławek. Wtem zahuczały organy, grając melodję znanej u nas pieśni wielkanocnej: Chrystus Pan wstał z martwych. Zatem śpiewano jeszcze inne pieśni wielkanocne. Radosne melodje, uroczyste usposobienie zebranych, głoszone z szczerem przejęciem Słowo Boże oddziaływało dziwnie na liczne zgromadzenie i dziwnie piękny i miły dało urok nabożeństwu. Gdy po dwóch godzinach uroczystość była skończona, żegnaliśmy z żalem kościół, zdawało nam się, że jeszcze chętnie bylibyśmy trwali w tej jedności zboru Chrystusowego.

Poniedziałek Wielkanocny.

Jeśli pierwsze święto wielkanocne poświęcone jest chwale i nabożeństwu wszechmocnego Boga i zmartwych wzbudzonego Zbawiciela naszego, to drugie święto, Poniedziałek Wielkanocny nosi obok cechy uroczystej przeważnie cechę towarzyskości rodzinnej i sąsiedzkiej. Dzieci schodzą się z rodzicami, bracia i siostry z członkami rodziny, by odnowić więzy pokrewieństwa i przyjaźni i pokrzepić się nawzajem na dalszą pracę i pielgrzymkę życia. W ewangelickim kościele w Cieszynie rozpoczynają się z dniem Poniedziałku Wielkanocnego t. zw. ranne nabożeństwa, na które schodzą się wielkie tłumy. Czas postu, czyli rozpamiętywania męki Pańskiej jest czasem żałoby, co się uwydatnia w kościołach, których ołtarze i kazalnice pokryte są kirem żałoby. W tych dniach i ludność idąca do kościoła przywdziewa szaty żałobne, co się przedewszystkiem w stroju niewieścim uwydatnia. Dziewczyny noszą w warkoczach swych włosów ciemne wstążki, tak samo okrywają ciemnymi chustkami głowy, i przywdziewają ciemne fartuchy. Z Wielkanocą te wszystkie oznaki smutku znikają, radość wielkanocna objawia się i w stroju.

Z świętami wielkanocnymi związane są też najróżniejsze zwyczaje ludowe. W dzień pierwszego święta otrzymywał dawniej każdy członek rodziny, czy syn czy córka, czy służebnik, czy służebnica, pokrewny lub gość bawiący w tej chwili w domu, duży kołacz dla niego osobiście przeznaczony. Niejeden spożył go natychmiast cały na śniadanie,

bo kołacz pokryty serem, posypyany piernikiem smakuje każdemu. Na Poniedziałek Wielkanocny przygotowane było inne śniadanie, zwane szołdrą albo murzynem. Z mąki pszennej uformowała gospodyni niby chleb, do wnętrza jego włożyła dobry kawał gotowanej szynki, następnie piekła to w piekarskim piecu. Do szynki dodają gdzieniegdzie i kielbasy, a gdy się wszystko należycie upiecze, murzyn jest gotowy. Przysmaki takie robiło się tylko raz w roku, na Poniedziałek Wielkanocny, bez nich święta wielkanocne traciłyby w ludowym zrozumieniu trochę z swego wesołego powabu. Na gospodarzy nakładały jednak te zwyczaje dość znaczne kłopoty. Wszyscy byli pracą około tych przygotowań zajęci, a gdy w domu było więcej osób, to trzeba było przygotować nieraz kilka szynek, by wszystkim należycie obdarzyć. W Poniedziałek Wielkanocny przychodzą też goście, krewni, sąsiedzi, których częstowało się szołdrą. Czeladź służąca, skosztowawszy swego śniadania, brała swą szołdrę i niosła do domu, by z swą rodziną spożyć swą własność. W domach bardziej zagospodarowanych odznaczały się murzyny szczególniejszą kompozycją, nabywając przez to nieraz dość znacznej sławy w całej gminie. Oprócz murzyna przygotowano i jajka gotowane na twardo, pięknie barwami malowane. I w tej sztuce gdzieniegdzie dochodzili mistrze domowi do wielkiej biegłości i zdobywali w sąsiedztwie sławę mistrzów.

W poniedziałek i wtorek wielkanocny polewa się młodziem, tak męska jak żeńska wodą, zapomocą sikawek sporządzonych z dzikiego bzu. Tak samo biją się młodzi wzajemnie korbaczami uplecionymi z świeżego pręcia wierzbowego, przyczem stopień uderzenia wymierza się według uczuć serca, dobrego przyjaciela lub kochankę, przyjaciółkę okładało się łagodnie, osobie trochę nie lubianej dostały się niby przez żart dość porządne cięgi. Skąd takie zwyczaje powstały, wytłumaczyć trudno, przechodzą z pokolenia na pokolenie i zdają się sięgać dawnych pogańskich jeszcze czasów.

Jeden jeszcze zwyczaj wielkanocny istnieje, a dziś można już niestety powiedzieć, „istniał“ u nas na Śląsku, podobno nigdzie indziej już nieznan, chodzenie z goiczkami. Troje dziewcząt, córki uboższych rodziców ubiera się ładnie, choć nie wystawnie, biorą sobie drzewko zielonej jodły, przyozdabiają wstążkami z malowanego papieru, dodają podobnie jak na drzewko strojone w dzień wigilijny trochę ozdób, przywiązują u wierzchu choinki dzwonek i z tak ozdobionym drzewkiem idą od domu do domu, wyśpiewując pod oknami kolendy, składając życzenia młodzieży mieszkającej w danem gospodarstwie, za co otrzymują w darze kilka groszy lub nieco pieczywa. Piosnka śpiewana przytem brzmi dość

jednostajnie, lecz miłe głosy podlotków i widoczna w ich oczach radość dodają jej dźwięku, tak, że dziewczyny te wszędzie witane były uprzejmie. O ile pamiętam, to piosnka brzmiała w ten sposób:

Goiczek zielony, pięknie przystrojony,
A w tym to tu domie piękne konie mają,
Są też tu pacholcy, co je odbywają.
Goiczek zielony, pięknie przystrojony.
A w tym to tu domie piękne krowy mają,
Są też tu dziewczki, co je odbywają.
Goiczek zielony, pięknie przystrojony.
A w tym to domie studnia cymbrowana,
Stoi tam dziewczucha, bardzo upłakana,
Czy to od pokory, czy to od podstaty,
Że się jej zaleca pacholek bogaty,
Goiczek zielony, pięknie przystrojony.
Nie dowejcie Wy nam grejcarka jednego,
Byśmy się nie biły w polu kole niego.
Goiczek zielony, pięknie przystrojony.

W niektórych górskich okolicach kraju istniał zwyczaj chodzenia z ozdobioną lalką, na której cześć śpiewano: Moszana, Moszana, co w poście jadła groch ze słoninami: Miły Pan Bóg z nami. — Na nizinach zwyczaj tego nigdzie nie zauważyłem. Piosnka o Moszanie pochodziła bezwątpienia jeszcze z pogańskich czasów. Obok więc nabożeństwa, w którym głównie młodzież brała udział, dzień poniedziałku wielkanocnego dawał ludowi sposobność do pielęgnowania towarzyskości.

W Poniedziałek Wielkanocny wyprawiała też i mnie wraz z bratem moim matka nasza w odwiedziny do starzyka w Lesznej na Podlesiu, t. j. u podnóża Czantorji. Przy tej sposobności mieliśmy starzykowi złożyć też i winsz (życzenia). Maszerowaliśmy więc obaj, jeden liczący lat 10, drugi lat 6, wzdłuż rzeki Lesznicy przez całą gminę aż pod Czantorję, gdzie u brzegu lasów znajdowało się gospodarstwo Jerzego Kozła. Szliśmy poważnie, z czapką na głowie, czując w sercu powagę naszego powołania, bośmy szli i na „śmiergust“. W kroku i całym naszym zachowaniu się była widoczna pewna uroczyść, myśl o starzyku napawała nas bowiem głębokim szacunkiem, prawie nabożeństwem dla jego osoby. Był to mąż poważny, znacznej wysokości, biały jak gołąb od lat, które już dźwigał. Gdy szedł wolnym krokiem, z laską w rękę, to trochę nachramywał, miał bowiem jedną nogę nieco krótszą. Ale to znaczeniu jego osoby nie uwłaczało, owszem, my chłopcy byliśmy przekonani głęboko, że aby być w świecie jaką powagą, to trzeba koniecz- nie trochę nachramywać, przynajmniej tak, jak nasz starzyk. Tak idąc, nachramywaliśmy obaj, rozmyślając przy tem, jak

się przed starzykiem zachować i jak przed nim stanąć. Gdyśmy przeszli przez wioskę pomiędzy budynkami, zaczęła się droga podnosić. Od domu naszego ojca chrzestnego Stebla prowadziła nas droga łaskiem w górę, wiodąc nas do niewielkiej chatki, w której mieszkała ciotka z Walkowic, wraz z swym sędziwym bratem, pacholkiem (kawalerem) i swym synem Jankiem z Walkowic, młodzieńcem pięknej urody i miłego usposobienia. Po drodze widzieliśmy tysiące fiołków, zakwitających w niebieskich kolorach. Zrywaliśmy te powabne kwiaty, układaliśmy w skromne bukiety, by je starzykowi przynieść w darze. Słońce oświecało całą okolicę, ptaki śpiewały, skowronki wzbijały się wysoko pod obłoki, nucąc swe piękne piosnki, a nasze serca były natchnione radością, bośmy szli do naszego starzyka. W szkole uczyłem się o sędziwym Symeonie, który widząc Jezusa, wypowiedział to piękne słowo modlitwy: Teraz puszczasz sługę Twego według słowa swego w pokoju. Ilekroć spojrzałem na mego starzyka, zawsze przypominał mi się ten patriarcha Nowego Testamentu. Zdawało mi się, że musiał on wyglądać tak, jak wyglądał mój starzyk. Nawet w późniejszym wieku, gdy z kazalnicy cieszyńskiej miałem mówić o Symeonie, zawsze w myśli mej powstawał na nowo obraz mego starzyka, naprowadzał mnie na nowe myśli, budził w sercu nowe uczucia i tak obraz ten podsuwał mi niejedno słowo, wypowiedziane do zebranego zboru. Nauk większych starzyk mój nie posiadał, bo w onych czasach trudno było o szkoły, lecz Biblię swoją i swój kancjonał umiał niemal na pamięć, czytał je zupełnie biegle.

Wkońcu doszliśmy do domu starzyka. Dom był rozległy, podmurowany, spodem były stajnie na krowy i konie, tak, że z jednej strony wyglądał na dom jednopiętrowy, z drugiej na parterowy. Z jednego końca mieszkał brat mej matki, gospodarz Paweł Kozieł, z drugiego końca od strony Czantorji była izba i komora mego starzyka, który z starką aż do jej śmierci prowadził osobne gospodarstwo. Wszedłszy do pokoju, powiedzieliśmy poważnie pozdrowienie: Dzień dobry, usiedliśmy na ławie wzdłuż ściany, biorąc pokornie udział w nabożeństwie domowem, które właśnie odprawiano. Byliśmy prawie jak gdyby w kościele. Wstąpiwszy do pokoju, mieliśmy czapki swoje na głowach, jak wtenczas u gospodarzy i rolników powszechnie bywało, w ciągu nabożeństwa zdjęliśmy czapki z głowy i siedzieliśmy jak w kościele.

Na stole leżała Biblia, trzy kancjonały Trzanowskiego i Dąbrówka, czyli zbiór kazań ks. Samuela Dąbrowskiego. Na przedniejszym miejscu u stołu siedział starzyk mój Jędrzej Kozieł, obok niego starka, następnie służba z gospodarstwa Pawła Kozła. Z chwilą rozpoczęcia nabożeństwa

domowego, kiedy zgromadzenie usiadło około stołu, złożył każdy pokornie ręce, zmówił cichą modlitwę, jak kto umiał. Następnie otworzono kancjonały i zanuciono pieśń. Po prześpiewaniu jednej nucono drugą, i dziwna rzecz, zdarzali się w takim zgromadzeniu zawsze tacy, którzy nie umieli czytać, ale pieśni te śpiewali szybko i z pamięci. W dawniejszych czasach szkół nie było, nam ewangelikom zabrano kościoły, wypędzono księży, zabrano nawet książki do modlitwy lub śpiewu, a jednak wiary i religji z serc nie zdołano usunąć. Przypomina mi się tu zdarzenie z pierwszych lat mej pracy. Wezwano mnie do chorej, chcącej przyjąć Wieczerzę św. Zgromadziło się ku temu, jak tu u nas na Śląsku bywa zwyczajem, kilka osób z sąsiedztwa. Oglądają się za śpiewnikiem, by zanucić pieśń, lecz nim przyniesiono śpiewnik, staruszka obecna przy uroczystości zaczęła nucić pieśń. Oglądałam się za kancjonałem, tak jak i inne osoby i widzę, że staruszka ta nuciła pieśń tę z pamięci. Nauczyła się jej z pewnością w dziecięcych latach i pamiętała dotychczas. Jak mi mówiono, nie umiała czytać. To był żywy zabytek z czasów minionych. Można nawet zakazać modlitwy, ale nikt nie zdoła modlitwy z serca wyrwać. Można było książki do nabożeństw spalić, jak się to częściej w dziejach Kościoła działo, można było kościoły zniszczyć, lecz nie udało się wiary z serc wytepić. Ona tam żyła jak iskra w popiele, a lada powiew Ducha Bożego ożywia ją znowu i rozdmuchuje w płomień. U nas w okolicach Śląska próbowano wiarę ewangelicką wytepić orężem, ale nie zdołano, aż powstało przysłowie: „Trzyma się mocno, jak wiara luterska koło Cieszyna“, nic jej nie zdoła osłabić, nic wytepić, gdy jest żywą.

Gdy śpiew zakończono, wziął starzyk Dąbrówkę i czytał kazanie na Poniedziałek Wielkanocny z Ewangelji Łukasza, o dwóch uczniach, którzy w wieczór wielkanocny opuściwszy Jeruzalem szli do Emaus. Czytał starzyk pięknie a jednak proste myśli Dąbrówki, jakoby kaznodzieja prosty, ale poważny a niejedno słowo przeczytane potwierdzał z skarbu swego doświadczenia. Gdy zakończył, zaśpiewaliśmy wspólnie pieśń, następnie każdy pocichu z złożonymi rękoma modlił się — i tak skończyło się nabożeństwo domowe, Bogu na chwałę, nam ku zbudowaniu. Niema wątpliwości, że takie nabożeństwa domowe, tego rodzaju chwile poważnego wzniesienia ducha, przyczyniły się w ciężkich czasach przeciwreformacji do zachowania wiary ewangelickiej. Dziś te czasy bezpowrotnie minęły! Zdawałoby się, że dla religijnych przekonań jeden drugiego prześladować już nie będzie, jesteśmy świadkami jakoby zaniku wszelkiej gorliwości religijnej, tak, że chodzi nam prędzej o jej ożywienie, jeśli jeszcze gdzie ją znajdujemy. Nie łudźmy się, upadek religij-

ności pociągnie za sobą i upadek wszelkiego szlachetnego życia narodów. To też gdy bezbożność otwarcie dąży do obalenia bojaźni Bożej i moralności narodów, powinni wszyscy zwolennicy religijnego życia dążyć wszelkimi siłami do ożywienia religijnych uczuć. Prawdą jest, co Jezus do uczniów i całego chrześcijaństwa powiedział: Bezemnie nic uczynić nie możecie. Jako latorośl nie może przynieść owocu sama z siebie, jeśli nie będzie trwała w winnej macicy, tak ani wy nic nie możecie, jeśli we Mnie mieszkać nie będziecie. Bojaźń Boża i miłość Chrystusa są najlepszym i jedynym środkiem do ożywienia cnotliwego życia po okropnych przewrotach wojny światowej. Ale innej drogi do tego celu nie ma. Ja i dom mój służyć będziemy Panu — rzekł stary Jozue stojący nad grobem, do starszych ludzi. A tej zasady trzeba nam się trzymać.

Dzień roboczy.

Po Poniedziałku Wielkanocnym następuje wielkanocny wtorek. W dawniejszych czasach odbywały się w dzień ten jeszcze nabożeństwa po kościołach, jako w trzecie święto wielkanocne. Dziś tego zwyczaju już prawie nigdzie nie znajdujemy. Gdziekolwiek używa się tego dnia do próżnowania, czego jednak pochwalić ani uznać nie można. Na Śląsku Cieszyńskim wtorek powielkanocny używany był oddawna do pracy zwykłej, nie tak jak w niektórych innych krajach, do marnych zabaw.

Dzień roboczy w domu mych rodziców rozpoczynał się w ten sposób, że ojciec i matka powstawali z łóża około czwartej godziny zrana, w lecie nawet jeszcze wcześniej, i nie czekali, aż się czeladź pobudziła. Powstawszy z pościeli myli się zimną wodą, następnie klękali pokornie w izbie i cichym głosem zmagali swe modlitwy. Od pierwszych lat dzieciństwa, aż do lat późniejszych zauważałem, że rodzice moi nigdy nie zaniedbywali ani wieczornej ani porannej modlitwy, co widząc my dzieci, stosowaliśmy się do ich przykładu. Nigdy nie byliby pozwolili, byśmy zaniedbali modlitwy. Bydło, mawiali, kładzie się na podściółkę bez ukłęknięcia i bez modlitwy, lecz człowiek rozumny powinien Bogu podziękować rano za odpoczynek minionej nocy i westchnąć o błogosławieństwo jego na dzień nastający. A równym sposobem nie powinien człowiek postępować jak nierozumne zwierzę czyni, gdy kładzie się do snu. I wtedy dziękujemy za chleb powszedni, za życie i zdrowie i za błogosławieństwo dnia minionego. Niekiedy ta karność wydawała mi się za ostrą i za trudną, szczególnie gdy po całodzienniej męczącej pracy oczy się zamykały i sen człowieka zupełnie zmagiał. Surowość rodziców w tym

wypadku nie znała żadnych względów. Gdyśmy jednak z pierwszych lat dzieciństwa wyrosli, widzieliśmy skutki tej ostrej karności. Jeśli sobie człowiek nieco pofolguje i nie przyzwyczai się od dzieciństwa do ścisłego porządku, to odwyknie w późniejszych latach od modlitwy, wstaje z łoża bez myśli o Bogu, idzie na spoczynek bez myśli o nim i bez wdzięczności za Jego dary i opiekę. Ścisłe przyzwyczajenie się do modlitwy, rano i wieczór, i przestrzeganie takiego porządku jest dla człowieka nader błogosławionem.

Tak samo nie należy zapominać o modlitwie stołowej, niestety dziś tak często zupełnie zaniedbywanej, chociaż nam i Jezus kazał się modlić: Chleba naszego powszedniego, daj nam dzisiaj. Znam pewien dom, w którym modlitwa stołowa nie była we zwyczaju. Małżonkowie jednak czuli, że im czegoś brakuje, że powinni zmawiać modlitwę stołową, tak ze względu na siebie, jak i ze względu na dzieci, aby je przyzwyczaić już od wczesnej młodości do dziękowania Bogu za Jego dary. Nadarzyła się niebawem sposobność do rozpoczęcia modlitwy stołowej: Syn czteroletni zachorował na ospę. Gdy po długiej chorobie wróciwszy do zdrowia, usiadł z rodzicami po raz pierwszy do stołu, ojciec uświęcił tę radosną chwilę modlitwą stołową i od tego czasu nigdy już bez modlitwy do stołu nie siadano, dziecię zaś zabrało z sobą pamiątkę tej chwili w całe swe życie.

Pod względem regularnego zmawania modlitwy mogą nam chrześcijanom być wzorem Żydzi lub Mahometanie. Żyd (prawowierny) nigdy i nigdzie modlitwy nie zaniebda; czy w drodze, czy w domu, czy w samotności, czy w towarzystwie ludzi, zawsze o modlitwie pamięta. Pewien podróżny wspomina w pamiętnikach swoich, że pewnego dnia znajdował się w drodze, w wagonie II klasy. Miał tylko jednego towarzysza podróży, poważnego Izraelitę, w podeszłym wieku będącego. Gdy nastał poranek, Izraelita powstał, otoczył swą rękę rzemieniem, włożył na głowę czapkę (cyces), przywdział płaszcz do modlitwy i zaczął półgłosem czytać swe modły, bijąc przytem w prawo i lewo pokłony. Gdy zakończył, odezwał się do sąsiada z podziękowaniem, że mu w modlitwie nie przeszkadzał. „Jakże śmiałem coś takiego uczynić?” odrzekł zagadnięty. Bywa tak czasem, rzekł Izraelita, ludzie idąc w drogę, zostawiają Pana Boga w domu, ja go z sobą biorę. W ten sposób wskazał poważny Hebrajczyk na obowiązek niezapierania się Boga swego.

Najdobitniejszym przykładem tej prawdy są wyznawcy proroka Mahometa. Gdy wybierają się w podróż, która w obecnych czasach wiedzie ich nie tylko na wschód, ale i do krajów europejskich, to każdy ma pod pachą swój kobierzec do modlitwy. Gdy przyjdzie godzina modlitwy, to bierze ko-

bierzec, rozkłada na podłodze, czy salonu, czy wagonu, uklęka na nim i zmawia modlitwę bez najmniejszych względów na otoczenie. Nie możemy żywcem przyjmować tych zwyczajów, bo może jest w nich dużo tylko zewnętrznej formy, ale każdy zrozumie, że w niejednym mogą nam być te zwyczaje dobrym i naśladowania godnym przykładem.

Do takiego modlenia się mogą prowadzić różne drogi. Jedną z nich jest nauka pobożnej, gorliwej, chrześcijańskiej matki. I ojciec uczy i uczyć powinien dzieci modlitwy. Ale gdy matka żyje i jest matką prawą, to sobie nie da odebrać tego pięknego zadania. Jużem posiwiiał, ale z rzewnością przypominam sobie chwile, w których mnie nieboga matka moją uczyła modlitwy. Gdy mię wieczorem wkładała w kołyskę, przeżegnała mnie krzyżem Jezusowym i zmawiała nade mną krótką modlitwę, którą mi w późniejszych latach powtórzyła:

Niech aniołowie stoją
Ze swoją złotą zbroją
Koło łoża twego.
Chciałby szatan cię strawić,
Każ aniołom tak prawić:
W pokoju ma być to dziecię.

Gdy miałem lat trzy, zaczęła mię matka uczyć zma-
wiać modlitwę. Nie poruciła tego zadania nikomu, wie-
dząc doskonale, że żadna inna ręka nie zdoła włożyć ziarnka
pobożności tak mile, jak to czyni matka. Kazała mi uklęknąć
u jej boku na krześle, albo na ławie, potem złożywszy me
dziecięce rączęta, mówiła mi słowo w słowo modlitwę, ja
zaś słowa te powtarzałem, ustęp za ustępem, aż miałem
słowa te w pamięci. Tak uczyła mnie najpierw przeżegnania,
następnie początku modlitwy Pańskiej, po kilku tygodniach
umiałem ją całą. Za kilka miesięcy przedłużyła się modlitwa
o początek wyznania apostolskiego, aż w końcu powolna ta,
a nic nie męcząca nauka wprowadziła w me dziecięce serce
modlitwy te tak, że mogłem je odmawiać sam, bez pomocy
matki i w jej nieobecności. Działo się to jednak tylko wy-
jątkowo, gdyż matka pilnowała tego, by modlitwa odbywała
się regularnie i całkowicie w jej obecności. Gdy podrosłem
i umiałem już te zasadnicze części katechizmu, to miała dla
mnie matka jeszcze jedną modlitwę, piękną, gorliwą i bar-
dzo serdeczną, w której było zawarte podziękowanie i prośba
do Boga o Jego pomoc i błogosławieństwo. Tej wyuczyła
się od swej matki, a ta znowu od dalszych przodków, może
aż z czasów ruchu religijnego, reformacji. Dziś jeszcze czuję,
jakie mię ciepło religijne przejmowało, gdy słowa mo-
dlitwy za matką powtarzała. Niestety, gdy zaczął chodzić do
szkoły, gdy następnie wyszedłem z domu do szkół w Cie-
szynie, to nauka moja u boku matki została zakończona.

Piękna jej modlitwa, powtarzana tylko z pamięci, nie zdołała utkwąć całkiem w moim umyśle. Dziś jej już nie pamiętam, i chociażbym jak pragnął, odświeżyć jej nie mogę. Matka moja leży w grobie, modlitwa jej piękna nie jest napisana, bo przenosiła się tylko ustnie z rodziców na dzieci i utrzymywała się jako święte dziedzictwo w sercach pokoleń. Nauka i druk przyniosły światu dużo nowych i dobrych rzeczy, ale niestety miały tę szkodę, że osłabiły znacznie pamięć ludzi, bo nie trzeba było utwierdzać w pamięci tych rzeczy, które w każdej chwili można przeczytać w książce, albo zapisać w własnych notatkach. Tego mi istotnie bardzo dziś żal, że pięknej modlitwy mej niebogiej matki, przechowywanej może przez wieki w naszej rodzinie, żadnym sposobem przypomnieć sobie nie mogę.

Matka moja miała piękny kancjonał Jerzego Trzanowskiego w brunatnej oprawie, który otrzymała w posagu od swego ojca. Nie przyniosła ona mężowi swemu w posagu wielkich skarbów tego świata, ale te, które przyniosła, były bardzo cenne. Jak z jej opowiadań wiem, przyprowadziła piękną krowę maści szarawej, przyniosła szafy i skrzynie pełne ubiorów, łóżka, różne sprzęty, dużo bielizny i pościeli i nieco grosza. Przyniosła jednak z sobą coś cenniejszego, niż to wszystko, serce bogobojne i wpływ błogosławionego wychowania w poważnej, bardzo bogobojnej rodzinie. Siedem córek obok syna jedynaka wyszło z domu Andrzeja Kozła i w siedem rodzin wniosły one wpływ dobry błogosławionego domu rodzinnego.

Otóż w posagu miała matka moja także i on piękny kancjonał. Rogi jego były zaopatrzone w okucia mosiężne, na nich słowa wybite: Bóg z nami. Było to w jakiejś zimowej chwili. Matka moja przedła kądziel na kołowrotku, a ja jako dziecko bawiłem się koło niej. Kancjonał leżał obok na stole. Na moją prośbę matka otworzyła go i zaczęła wyjaśniać. Na wstępnej tytułowej karcie były obrazy aniołów niebieskich, które na cytrach grały i śpiewały pieśni na chwałę Bogu. Na dalszej karcie był obraz Jezusa, siedzącego na górze, koło Niego tłumy, którym On głosił słowo Boże. Na dalszym obrazie przedstawione było zdarzenie o matkach przynoszących do Niego swe dzieci, które On biorąc na swe ręce błogosławił. Dalej widziałem tam Jezusa w koronie uwitej z ciernia, dzwigającego wielkie i ciężkie drzewo krzyża, idącego mozolnie na górę Golgotę. Był tam i obraz przedstawiający Jezusa wiszącego w okropnych cierpieniach na krzyżu, gdy koło niego cisnęła się szydercza zgraja. Matka tłumaczyła mi znaczenie owych obrazów, czułem słowy opowiadając, jak dobrym był Jezus, jak miłował ludzi, w szczególności dzieci, które się do Niego serdecznie tuliły, i w ten sposób przedstawiała mi całe życie Zbawcy, ja zaś

słuchałem cały wzruszony i rozrzewniony. Serce moje dziecięce napełnione zostało litością i uwielbieniem dla Zbawcy. Wtenczas postać jego umiłowałem i pragnąłem pozostać Jego uczniem. Dużo w ciągu życia miałem nauczycieli, wielu słyszałem kaznodziei, nauczyłem się od nich różnych rzeczy i wdzięczną wszystkim zachowam pamięć, lecz takiego wpływu na moje serce nie wywarł nikt, jak moja matka swem prostem z serca pochodzącem słowem. Ale i sama w chwilach późniejszych, chociaż miałem dla niej zawsze wielką cześć, nigdy już takiego wpływu nie wywarła jak wtenczas. W późniejszych latach nauki, w szkołach i rozmyślaniach o rzeczach boskich, niejedna w sercu powstała wątpliwość, jak to zawsze bywa, nim się w duszy ludzkiej utworzy jakieś stałe przekonanie, lecz cokolwiek człowiekowi przez głowę przeszło, miłość i podziw dla Jezusa Pana pozostała nienaruszona i przewyciężyła wszystkie wątpliwości serca. Chrystus stał się punktem środkowym mej teologii i koło tego jądra grupowały się wszystkie inne nauki i prawdy. Matka zaś moja była mi w tem pierwszą nauczycielką. Z tego wyprowadzam wniosek, jak ogromny może być wpływ pobożnej matki na umysł dziecięcia i na przyszły sposób jego myślenia. Matka może być prostą kobietą, nie mającą wyższego wykształcenia, a jednak w duszę swego dziecięcia zasiewa ziarno wiary i miłości, które w latach dalszych wydaje plon ważny. Cześć matkom pobożnym.

Domownicy.

Rozumiem przez ten wyraz wszystkie osoby, które do grona jednej rodziny należą, wspólnie pracują i do jednego stołu zasiadają. Do domowników należą więc ojciec i matka, synowie i córki, miejscami starzykowie i osoby będące w służbie rodziny. Te osoby dawniej przed wojną nazywano czeladzią.

W mych dziecięcych latach stosunek służbowy do gospodarzy był powszechnie więcej rodzinnym, niż jest dzisiaj. Tak było i w domu naszym, bo rodzice moi nie prowadzili osobnego stołu dla siebie i dzieci, jak to już wtenczas w niektórych domach bywało, lecz wszyscy u jednego siadaliśmy stołu, każdy na swem oznaczonem miejscu, wszyscy te same jedliśmy potrawy z tej samej misy. Co jadł gospodarz, to jadł i sługa.

Ja z czeladzią żyłem zawsze w zgodzie, dzięki czemu cieszyłem się zawsze jej miłością i względami. Gdy miałem lat sześć, jeden z pasterzy ustąpił ze służby. Pozostał tylko jeden, a było trzeba dwóch, aby z dwóch stron wstrzymywać bydło od szkody w zbożu. Ja tedy miałem zastąpić brakującego i dzień po dniu wychodziłem z bydłem na pastwisko.

Razu pewnego, gdy stałem przy drodze, zerwała się okropna burza, pioruny biły, błyskawice płonęły a deszcz jak z cebra lunął na ziemię. Trzeba było trzodę pędzić do domu. Nasz wielki pasterz — takeśmy go zwali, bo był w istocie wielkim pacholikiem — wziął mnie przestraszonego na swe plecy i pędząc drogą bydło, zaniósł aż do domu. Nigdy mu tego nie zapomniałem.

Mieliśmy szczęście mieć dobrą czeladź, która w szczególności dla mnie była uprzejmą i życzliwą. Wogóle ja w życiu daleko więcej miałem szczęścia i doznałem życzliwości między maluczkimi i prostaczkami, niż między t. zw. panami. Wielcy tego świata wyrządzili mi częściej przykrość i krzywdę nawet bez mej winy, gdy ludzie maluczcy i prostaczkowie garnęli się do mnie. Tak było w dzieciństwie, tak w latach późniejszych, tak aż pod wieczór mojego życia. Co mnie jeszcze czeka, przewidzieć nie zdołam, lecz serce każe mi, bym na tem miejscu wszystkim życzliwym przyjaciółom swoim w kołach prostaczków i maluczkich za doznaną życzliwość i względy wypowiedział dzięki. Za dobroć i przyjaźń mi okazaną, wszystkim przyjaciółom i przyjaciółkom serdeczne wypowiadam dzięki. Niech Wam Bóg zapłaci za Waszą dobroć.

Takich względów ze strony maluczkich już w dzieciństwie doznawałem w rodzicielskim domu. Mieliśmy służącą, która przez lat kilka u nas służyła, a później wyszedłszy za mąż, zawsze bywała w pobliżu nas. Była to Anna Kabotówna, sierota po biednych, ubogich rodzicach, ale dziewczyna dobrego serca, czystego życia i bardzo inteligentna. Ta była pierwszą mą nauczycielką. Widząc we mnie duży pociąg do nauk, nauczyła mnie poznawać litery i czytać najpierw po składaniu a następnie po prostu, np. a-n-i-o-ł — anioł; s-t-ó-ł — stół. W elementarzu stało zdanie, które mą chłopiecą fantazję najwięcej zajęło i które z upodobaniem powtarzałem: „Mama mi kupiła konika małego.“ Pod opieką Anny Kabotówny wkrótce nauczyłem się czytać i czytałem Nowy Testament, a nawet pieśni z kancjonału. Anna Kabotówna miała głos śliczny i umiała śpiewać dużo pieśni z kancjonału, śpiewała je sama, śpiewała z mą matką, a ja z zapalem przysłuchiwałem się jej głosowi. Gdym później zaczął chodzić do szkoły, śpiewałem co wieczór pieśni wieczorne w izdebce u starzyków, siedząc koło pieca przy świetle łuczywa — bo nafty wtenczas jeszcze nie było — śpiewałem, czytałem, ciesząc się wiece, gdy udało mi się uchwycić jaką melodję. Anna Kabotówna i matka moja uczyły mnie śpiewać, lecz niestety, wielkiego śpiewaka nie zdołały ze mnie zrobić. Był mi też kancjonał Trzanowskiego trochę obcym. Gdy w r. 1865 przyjęto kancjonał ks. Jerzego Heczki, opracowany w polskim języku, witałem go dlatego z wielką

radością, bo dźwięk polskiej mowy był mi przyjemniejszym, niż pieśni czeskie.

Drugą służącą, która silnie oddziaływała na rozbudzenie się mej wyobraźni, była Marja Heczkówna, rodem z Bystrzycy. Siedząc przy kądzieli, przędąc len, opowiadała mnóstwo bajek, które sama w dzieciństwie słyszała i zachowała w wiernej pamięci, o zbójcach, o kamieniu Sesam, który się otwierał i mieścił w wnętrzu swem wielkie skarby, o czarownikach i czarownicach i wielkie mnóstwo bajek i opowiadań, krążących wśród ludu. Miała Heczkówna nadzwyczajną pamięć i szczególny dar opowiadania, tak że podczas jej opowiadania te wszystkie rzeczy prawie że stawały się żywymi. Ja wtenczas te wszystkie rzeczy umiałem na pamięć i nieraz sobie samemu je powtarzałem. Było ich w całości może 30, niektóre były obcego pochodzenia, inne były swoje, wszystkie zajmujące. — Istny skarbiec podań ludowych i ludowej poezji. Jakaż to szkoda, że ten skarb zaginął i przepadł bez śladu, bo w nowszym pokoleniu nie znajdzie się już nikt, co by te rzeczy umiał na pamięć i tak opowiadał, jak Marja Heczkówna je opowiadała. Że te rzeczy należało spisać i przechować późniejszym czasom, o tem ja wtenczas dzieckiem będąc, nie myślałem. A gdy byłem w stanie opowiadania te spisać, to znowu z powodu zajęć nie miałem czasu, ani też sobie wszystkiego przypomnieć i powtórzyć nie mogłem. Marja Heczkówna już dziś nie żyje, zasnęła w pokoju, a z nią przepadł skarbiec poezji ludowej, bo wśród obecnego pokolenia, w harcu i zgiełku życia, jakiego obecnie jesteśmy świadkami, niema pewnie nikogo, co by te powieści tak był zachował w sercu i fantazji, jak to Marja Heczkówna czyniła.

Obok tych dwóch dziewczyn utkwiał mi jeszcze w pamięci obraz pacholka od koni Jana Worka, pochodzącego z Mostów za Jabłonkowem. Był to młodzieniec śliczny, wysokiej postawy, jakby go z marmuru wyciosał, pilny i sumienny. Był katolikiem, ale myśmy się z nim dobrze znosili i obchodzili z nim po przyjacielsku. Jan Worek był nadzwyczaj kiepskim rachmistrzem, najprostszego rachunku nie mógł pojąć. Nieraz nas swą nieporadnością dziwnie ubawił. Przyszedł do nas człowiek, handlujący nożami i różnymi innymi drobnymi towarami. Były to noże całkiem proste, jakich lud wiejski używał dla swoich potrzeb, wartości czterech lub pięciu krajcarów w dawnej austriackiej monecie. Jan Worek wyszukał sobie nóż odpowiadający jego życzeniom i pyta o cenę. Sześć krajcarów odpowiada handlarz. Ale to za drogo — woła Janek — za szóstkę też będzie. Handlarz przyzwolił, odebrał pieniądze i pośpieszył z domu. Zrobił przecież dobry interes, bo szóstka ówczesna znaczyła nie sześć, lecz dziesięć krajcarów. Tak biedny Janek na każ-

dym kroku w rachunkach popełniał błędy i na żaden sposób nie mógł dać sobie rady z liczbami. Ale choć kiepski z niego był matematyk, to był człowiekiem do pracy zdolnym i bardzo spolegliwym. Do tego posiadał jeszcze jeden talent, który nie każdemu dostał się w udziale, był muzykalny i umiał grać na wszystkich na wsi dostępnych instrumentach, grał na grzebieniu, na bromblach, na fujarce, na piszczałce, jednym słowem na wszystkim, co dostało się do jego rąk, a grał tak cudownie, żeśmy jego muzyki z radością i podziwieniem słuchali. Gdyby Jan Worek był przyszedł na świat w innych stosunkach i odebrał odpowiednie wykształcenie, byłby może w świecie zasłynął z talentu muzycznego. Tak jego talent pozostał w ukryciu i nie był wyzyskany. Wrócił do domu w swe górskie strony i więcej o nim nic nie słyszałem.

Jeszcze jeden człowiek z czeladzi mych rodziców został mi w pamięci, wiekiem niewiele starszy ode mnie. Przyszedł do nas z dala jako sierota, cichy, spokojny. Pasał u nas bydło i pomagał przy rolnej pracy jako poganiacz. Nie był bardzo silny, lecz chętny do pracy. W r. 1866 stawiał się do poboru i został powołany do służby wojskowej. W jesieni miał iść na ćwiczenia. Wtem w czerwcu wybuchła wojna z Prusami na północy, a z Włochami na południu, zatem na dwa fronty. Ja byłem wtenczas w gimnazjum i nigdy nie zapomnę onego popłochu, który zapanował w naszych okolicach, gdy rzucono okrzyk przestachu: „Prusi maszerują.“ Ktokolwiek tylko mógł, uciekał z życiem w góry, na Słowacyznę. Wszystkie drogi, wszystkie ścieżki były tak zapchane uciekającymi, że się nigdzie ruszyć i przecisnąć nie było można, istna wędrówka ludów. Nadchodzi południe, zbliża się wieczór — a Prusaków niema. Okazało się, że nieprzyjaciela wcale nie było. Ktoś zobaczył żandarma austriackiego z szyszakiem na głowie, a widząc odbłask promieni słonecznych, odbijających się w czapce żandarmskiej, zaalarmował całą okolicę. Wszystko było w ruchu, każdy uciekał w stronę południa, popłoch był tak wielki, że go żadna siła nie była w stanie powstrzymać. Minął dzień drugi i trzeci, a gdy znikąd żaden żołnierz się nie zjawił, zaczęli ludzie ostrożnie wracać do swych siedzib. Widzieliśmy wtenczas, co zdziałać może trwoga, a lepiej popłoch zupełnie nieuzasadniony; żadne uspokojenia, żadne zapewnienia i wywody rozumowe nie są zdolne przynieść uspokojenia. Dopiero w trzy tygodnie później wkroczyły wojska pruskie na ziemię Śląska Cieszyńskiego, zajęły Cieszyn i okolicę. Nikt się nie przeraził, nikt nawet bardzo nie wiedział, że kraj został zajęty. Gdy mieszkańcy Cieszyna obudzili się rankiem ze snu, zauważyli, że w mieście są Prusacy. Wojska zachowały się spokojnie, wymagały jednakże od mieszkańców

również spokoju i przestrzegania wydawanych rozkazów. Po dalszych dwóch tygodniach doszła nas wieść, że wojna zakończona. Pod Sadową w Czechach zostały wojska austriackie pobite na głowę, a chociaż stary wódz odniósł we Włoszech zwycięstwo i pobił Włochów, to jednak Austria musiała Włochom oddać Wenecję i Lombardję, Prusom zapłacić odszkodowanie wojenne w sumie 30 milionów guldenów austriackich, i — co było dla Prus najważniejszem — Austria musiała wycofać się z Niemiec i przestać należeć do Rzeszy niemieckiej. Między Austrią a Prusami istniało zawsze współzawodnictwo o wpływ na drobne państewka niemieckie. Po bitwie pod Sadową Prusy zmusiły Austrię do wyrzeczenia się wszelkiego wpływu na sprawy organizującej się Rzeszy niemieckiej i zdobyły przez to same pierwsze w tem miejsce. Austria, zawsze słaba, obowiązek swój spełniała wiernie, powoli sama dostała się pod wpływ i panowanie Niemiec, nie tylko może w politycznem, ile raczej w moralnem tego słowa znaczeniu, aż w wojnie światowej dzięki tej zależności był swój zakończyła.

Do wojny pruskiej powołano także naszego parobka. Otrzymawszy pozew, wybrał się do miasta, ale nie z zapalem i nie z radością, tylko ze łzami się żegnał, jakoby przeczuwając, że do swoich już nie wróci. I nie wrócił więcej, bo pod Sadową padł raniony kulą karabinową i pochowany został w masowym grobie. Myśmy mu poświęcić w domu chwilę rzewnego wspomnienia nabożnego.

Szkoła ludowa.

Reformacja wywołała żywy ruch, nie tylko na polu kościelnem, ale i na polu szkolnictwa. Przy każdym kościele wznoszono szkoły, ewangelicki Kościół wymagał bowiem, by każdy jego członek mógł samoistnie czytać Pismo święte, śpiewać pieśni kościelne, używać modlitewnika i innych ksiąg do nabożeństwa. Nauka w tych szkołach odbywała się dlatego w języku macierzyńskim. Konieczność używania języka macierzyńskiego wywołała też i jego niezwykły rozkwit. Język niemiecki w dzisiejszej swej formie został uformowany przez Lutra, jemu też zawdzięczają Niemcy to, że mają język jednolity, chociaż Niemcy dzielą się na wielką ilość szczepów, używających swych odrębnych narzeczy, tak do siebie niepodobnych, że możnaby je uważać za odrębne języki. W każdym razie z pewnością jeden szczep narzecza drugiego nie rozumie. Język francuski jest wytworem reformatora Jana Kalwina, który ogłaszał swe dzieła, nie tylko w języku łacińskim, ale francuskim i tak świetnie nim władał, tak umiał podnieść jego piękność, iż język ten do dzisiejszych czasów za najpiękniejszy w świecie bywa uwa-

żany. Język polski również w czasie ruchów reformacyjnych został uszlachetniony, przez Mikołaja Reja, ewangelickiego, polskiego pisarza i przyjaciela reformacji Jana Kochanowskiego. Faktem jest, że obok każdego kościoła ewangelickiego wznosiła się szkoła ludowa niższa lub wyższa, gdzie młodzież ćwiczyła się w czytaniu, pisaniu, rachowaniu, religii i śpiewie.

W czasie, o którym wspominam, nie było w Austrii szkół publicznych, były tylko szkoły wyznaniowe, prywatne, zakładane i utrzymywane przez Kościół z własnych jego środków. Zakładali je szczególnie ewangelicy, uzyskawszy jaką taką wolność. Szkoła ludowa w Górnej Lesznej została założona w r. 1852. Poważny gospodarz Adam Olszar, podarował spory kawał roli pod budowę budynku szkolnego, pod ogród szkolny i kawał roli do użytku dla nauczyciela, i na tym gruncie powstał budynek, obszerny, na one czasy okazały, z kamienia i cegły. Ponieważ ziemia w tym miejscu była nieco moczarna, zbudowano pod szkołę wysoki fundament z kamienia, tak, iż od drogi trzeba było iść do szkoły po schodach kamiennych, złożonych z trzech lub czterech stopni. Połowę budynku zajmowała salka do nauki szkolnej, drugą połowę mieszkanie nauczyciela, składające się z dwóch lub trzech pokoi, i kuchni. Do budynku należały i zabudowania gospodarcze, stajnia i stodoła. Dom, nowy, murowany, pięknie pobielony, przedstawiał się okazale.

Pierwszym nauczycielem szkoły ewangelickiej w Górnej Lesznej był nauczyciel Jerzy Mrowiec, syn rolnika w Rychłudzie, na samej granicy Śląska pruskiego.

Młody Jerzy Mrowiec, ukończywszy nauki w ludowej szkole swej rodzinnej wioski, udał się do gimnazjum ewangelickiego w Cieszynie, mającego tylko sześć klas. Gdy ukończył te klasy, trzeba się było udać do Keżmarku, by tam ukończyć dwie najwyższe klasy gimnazjalne, z których dopiero można było przejść na wszechnicę. Nie chcąc tego uczynić, wstąpił na dwa miesiące do katolickiego seminarjum nauczycielskiego w Cieszynie, aby zaznajomić się nieco z metodą nauczania w szkołach ludowych. Gdy to uczynił, powołali go ewangelicy obywatele gminy Lesznej na posadę nauczyciela przy ich szkole. Tak z początkiem roku 1850, przybył do Górnej Lesznej. Ponieważ szkoła nie była jeszcze gotową, zajął mieszkanie w domu rolnika Cieńciały w Dolnej Lesznej, gdzie mieszkał i uczył przez całe dwa lata. Gdy w r. 1852 szkoła została ukończoną i poświęconą, wstąpił do niej Mrowiec, jako pierwszy nauczyciel i był tam nauczycielem przez całych 50 lat.

Mieli wtenczas ewangelicy na Śląsku szereg nauczycieli wybitnych, którzy serca młode kształcili w naukach,

zastępowali pastorów przy pogrzebach i innych obowiązkach, przewodniczyli ludowi w różnych sprawach publicznych. Wszyscy już dziś śpią i odpoczywają, ale imiona ich żyją jeszcze między ludem. Śniegoń na Wiśle, Pinkas w Próchniej, Jan Szygut w Puńcowie Adam Macura w Końskiej, Jan Śliwka w Cieszynie, Jerzy Mrowiec w Lesznej i wielu innych.

Z tych wymienionych z kilkoma żyłem w bliskiej styczności, głównie z Adamem Macurą i Janem Szygutem. Nieraz byłem u nich podczas nauki religji w szkole. Było mi przy tem tak, jak gdybym był na jakimś pięknym nabożeństwie w kościele. Z taką powagą, z takim namaszczeniem wszczepiali w serca swych uczniów i uczenic prawdy religijne i miłość Jezusa.

Wdzięczność wymaga, bym jeszcze jednego nauczyciela na tem miejscu wspomniał, jednego już z młodszych, Jerzego Rusza, nauczyciela w Wędryni. Był w moim wieku, uczęszczaliśmy razem do drugiej klasy ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie. Na ławie szkolnej siedzieliśmy razem jeden obok drugiego. Postępy nasze w naukach były dobre. Po ukończeniu drugiej klasy pozostał Rusz w domu u biednych swych rodziców na gospodarstwie, siedział za warsztatem u ojca, biednego i skromnego górskiego tkacza, i wił przędzę na cywki do roboty. Wtem nadszedł rok 1868. Dla szkolnictwa Austrii przyniósł rok ten wielką zmianę, bo stał się rokiem założenia nowoczesnego szkolnictwa. Dotychczas szkoła ludowa jako powszechna nie istniała, uczył się, kto mógł i gdzie mógł. Ewangelicy utrzymywali tu i ówdzie swe prywatne szkoły, miejscami znajdujące się nawet w stanie wielkiego rozkwitu. Katolicy jednak równych im szkół nie mieli. Mieli oni przy kościołach szkoły religijne, nauczyciele pełnili służbę organisty przy mszy, grając na organach i uważając właśnie tę czynność za swe najprzedsniejsze zadanie, nauka zaś szkolna pozostawiona była na uboczu. Naraz w r. 1868 wyszła ustawa państwowa, na podstawie której nauka elementarna miała się stać powszechną, każda gmina musi mieć swą własną szkołę, każde dziecko musi uczęszczać do szkoły od szóstego do czternastego roku życia. Rozmiar nauki każdego roku był ściśle określony. Wprowadzono zatem obowiązkową naukę szkolną dla całej monarchji. Dzieci szkolne były, lecz nie było miejsca na ich pomieszczenie, nie było też nauczycieli. Gdzie tylko znalazł się jakiś człowiek trochę poduczony, wnet został wezwany do pomocniczego nauczania, choćby tylko czasowo, aż będzie pewien zastęp nauczycieli fachowo wykształconych. Wtedy to w takiej biedzie ks. Koczy, pastor w Bystrzycy zwrócił uwagę na syna swego zborownika Rusza w Koszarzyskach, który ukończył dwie klasy gimnazjalne w Cieszynie.

Udał się więc do Koszarzysk, znalazł tam niewielkiego, skromnego chłopca wijącego cywki w domu przy warsztacie ojcowskim i zabrał go natychmiast z sobą, by stanawszy w szkole, pomagał w naukach. Co z tego niewielkiego chłopca będzie, tego ks. Koczy nie wiedział. Za miesiąc, czy za dwa przychodzi ks. Koczy do szkoły, by się przekonać, jakie też postępy robią dzieci szkolne pod przewodnictwem tego chłopca. Oczom swym nie wierzy, szkoła była bowiem świetnie urządzona i prowadzona. Liczono na jakich czterdzieści dzieci, a tu jest ich z górą dziewięćdziesiąt. Pomieszczenia dla nich nie było, niektóre siedziały na podłodze, inne stały około okien, ale wszystkie zachowywały się wzorowo, a żadne dziecko nie chciało opuścić nauki szkolnej i pozostać w domu, wszystkie uciekały na gwałt do szkoły. Tak je ten młody i cichy nauczyciel umiał do siebie przyciągnąć i porwać za sobą, taką między nimi utrzymywał karność, do takich postępów umiał dzieci szkolne zachęcić, że natychmiast świątły ks. Koczy poznał, że to nie jest nauczyciel z wykształcenia, ale z urodzenia. Przytem w tym człowieku była pokora i skromność tak wielka, że nikt nie byłby myślał, iż taki talent i taka zdolność w głowie i sercu jego się mieści. To też pastor natychmiast wydał zarządzenie, by Rusza wysłano jeszcze do nauk, by mógł ukończyć szkołę nauczycielską i uzyskać świadectwo nauczycielskie. Był to jeden z najlepszych nauczycieli na Śląsku, ceniony nie tylko przez swych uczniów, ale i przez przełożonych. Wyłużył lat przeszło czterdzieści, poszedł w cichości na emeryturę, ale odpoczynku nie długo zażywał. Przejścia bolesne i ciężka choroba położyły kres jego życiu.

Było to w wiosnie roku 1860. W niedzielę w kościele goleszowskim włączono do modlitwy kościelnej westchnienie za synaczka ze zboru, który z rodzicami przyszedł do kościoła, a w nadchodzącym tygodniu miał rozpocząć naukę szkolną. Nie pomnę słów modlitwy, lecz dziś widzę jeszcze, jak matka moja, u której boku siedziałem, ze łzami wzruszenia modlitwę księdza powtarzała. Byłem jej dzieckiem najstarszem. Siostra, która się przedemną urodziła, umarła po pierwszym tygodniu życia. Ja sam byłem szczupłym, wątłego zdrowia i bladym synkiem. Matka lękała się o mnie bardzo, bo droga od szkoły do naszego domu wymagała pół godziny czasu. W lecie jeszcze jako w lecie, ale jakże będzie w zimie, w czasie wielkich mrozów i zawieruch śnieżnych. Nie dziwić się, że serce matki było w trwodze, nie dziw, że swe najstarsze dziecko prowadzone na drogę nauki w obawach swoich poruszała gorąco opiece łaskawego Boga. Przygotowano dla mnie nowy ubiór, obuwia jednak nie dano mi, gdyż my jako prawdziwe wiejskie dzieci biegaliśmy zawsze bosą nogą od pierwszej chwili, gdy tylko śnieg w marcu

stopniał. Matka uszyła mi taistrę z surowego płótna, bo taka wtenczas była moda, że chłopcy chodzili do szkoły z taistrą u boku, mając w niej książki, tabliczki do pisania i kawałek chleba na obiad. Dziewczyny nosiły swoje rzeczy w chustkach. Jedynie dzieci, które mieszkaly w bezpośrednim sąsiedztwie szkoły, wybiegały w południe na obiad do domu.

Było to w piątek, w miesiącu kwietniu. Pomodliwszy się w domu serdecznie, wyruszyłem w towarzystwie matki w drogę do szkoły. Matka niosła na rękach kosz, z którym wychodziły nasze niewiasty, gdy udawały się na targ. W koszu tym znajdował się jakiś podarunek dla domu i kuchni nauczyciela. Przyszliśmy przed budynek szkolny. Gdzieindziej ludzie nie chcą rozpoczynać w piątek żadnej pracy, bo dzień ten uchodzi wśród ludu za dzień nieszczęśliwy, w którym niedobrze zabierać się do nowego jakiegoś dzieła. Lecz u nas było przysłowie, które mówi: W piątek dobry początek. Zdaje się, że przysłowie to znane jest wśród ludu polskiego, ewangelickiego na całym Śląsku, gdy Niemcy wołają w piątek wstrzymywać się od rozpoczęcia jakiegokolwiek pracy. Jakkolwiek się rzecz ma, tu się sprawdziło, że piątek przyniósł dobry początek. Tak w szkole ludowej gminy Górnej Lesznej, jak też i w dalszych szkołach, wszędzie mi się nieźle w naukach wiodło.

Gdyśmy stanęli na schodach kamiennych budynku szkolnego, podniosłem oczy i ujrzałem nad drzwiami napis czarnymi literami nakreślony: Dopuszczcie dziatkom przychodzić do mnie, a nie zabraniajcie im; albowiem takich jest królestwo Boże. (Marka 10, 14.) Umiałem już czytać, przeto z uwagą te słowa czytałem. Matka zauważyła to i objaśniała słowa: To mówi Pan Jezus, nasz Zbawiciel. On ciebie i każde dziecko do szkoły przychodzące tak zaprasza. Słyszając to, odkryłem głowę i z czapeczką w ręku wszedłem w podwoje szkoły.

Z matką swoją wstąpiłem do mieszkania nauczyciela Jerzego Mrowca, zostałem przyjęty, imię moje zapisane do metryki szkolnej i odtąd należałem już do szkoły. Gdzieindziej istnieje zwyczaj, że dzieci prowadzi do szkoły, oddaje pod opiekę nauczyciela ojciec, u nas czyniły to matki, mnie przynajmniej matka moja do szkoły i kościoła prowadziła.

Nauczyciel Mrowiec, wziął mnie za rękę, wprowadził do sali szkolnej i wskazał miejsce, gdzie usiadłem, czekając spokojnie, co dalej się stanie. Nauczyciel wyszedł jeszcze do matki, rozmawiał z nią przez dłuższą chwilę, ja zaś patrzyłem zdziwiony na wszystko, co widziałem w sali. Była to sala duża, zajmująca połowę dość obszernego budynku. Koło okien było podwyższenie zrobione z desek, na niem stół, na którym znajdowały się różne książki szkolne, obok nich

pióra gęsie, które nauczyciel sam swym szczyrykiem zaostrzał, bo wtenczas stalowe pióra ledwie co w modę zaczęły wchodzić i były jeszcze wielką rzadkością. Przy stole stało krzesło nauczyciela. Na podwyższeniu była jeszcze czarna tablica do pisania i rachowania, nad nią wisiał obraz, wtenczas jeszcze młodego cesarza Austrii Franciszka Józefa I. Środkiem sali prowadził szeroki ganek aż do występka, czyli podniesienia, a po obu stronach ganku stał długi rząd ław szkolnych, w których siedzieliśmy my, z prawej chłopcy, z lewej dziewczyny. Każdy miał dla siebie swoje wyznaczone miejsce, które zajmował, siedząc na niem tak długo, aż je opuścił, by naprzód postąpić. Do ław, z których każda miała swoją półkę, składaliśmy torby z książkami, kapelusze, i kawałki chleba, które przynosiliśmy z sobą do szkoły na obiad. W szkole było jakich 120 dzieci. Najprzedniejsze miejsca znajdowały się przy występku. Kto w pierwszej ławie zasiadał pierwszy, był premiantem, tak po stronie chłopców, jak po stronie dziewczyn. Wtenczas godność tę zajmował Paweł Heczko i Anna Supikówna, ja siedziałem w tyle na przedostatniem miejscu, w cichości, z powagą i skupieniem wyczekując rzeczy, które przyjsć miały. Ściśle o godzinie dziewiątej z rana otworzyły się drzwi sali i nauczyciel Jerzy Mrowiec wszedł na salę. Całe zgromadzenie dzieci powstało, witając go jednomyślnem uroczystem: Dzień dobry. Gdy usiadł na krześle, usiadły i dzieci, każde na swoim miejscu, i odśpiewaniem pieśni zaczęła się nauka. Premiant Heczko przedpowiadał głośno, pan nauczyciel podał ton, za nim wszyscy śpiewali. Była to pieśń: Ach zostań z Twą miłością... Pieśń i mnie już znana, bo śpiewałem ją nieraz w domu rodziców. Następnie zmagaliśmy wszyscy razem modlitwę Ojcze nasz. Wszystko to było wykonane tak uroczysto i tak poważnie jakby w kościele.

Pierwsza godzina poświęcona była nauce religji; dzieci powinny były nauczyć się dwóch zwrotek jednej z wielkanocnych pieśni. Na pytanie nauczyciela pewna liczba chłopców i dziewcząt podnosiły ręce na znak, że umieją, wygłaszały te zwrotki, niektóre nawet je nuciły. Inne nie były pewne swego zadania, odbierały więc kary i napomnienia. Niektóre dzieci znane z lenistwa stały po kątach, inne musiały pozostać po szkole i uczyć się, czego dotąd nie umiały. Kara była i cielesna. Nauczyciel Mrowiec nie cierpiał leniuchów, lecz żądał koniecznie, by dzieci wykonywały swe zadania. Wtenczas kara cielesna nie była zakazana, różga miała poniekąd pewnego rodzaju władzę w szkole. Nadużywanie kary cielesnej jest rzeczą niewątpliwie godną potępienia, lecz cóż ma nauczyciel w szkole zrobić, jeśli wszystkie inne środki zawiodą? Mądrzy rodzice nie zrażą się, gdy dziecko niedbałe lub oporne zostaje ukarane. Jakaś karność musi być,

gdyż inaczej porządku nie będzie. Dobrego dziecka nikt nie łaje ani karze, karze się tylko dzieci oporne krnąbrne.

Uczyliśmy się ustępów z nauki Pauliniego. Była to książka ułożona dobrze i systematycznie w pytaniach i odpowiedziach, zawierająca wielką ilość najpiękniejszych wyroków z Pisma świętego, które sobie dziecko zapamiętało i zabrało z sobą jako skarb na całe swe życie. Może być, że nie wszystkie wyroki nasze dziecięce umysły zdołały zrozumieć, a jednak złożone w sercu i umyśle, idą z człowiekiem drogą życia i w niejedynej dolinie, a może nawet i w dolinie cienia śmierci rozleją przed okiem niebiańską jasność i staną się źródłem otuchy i pociechy.

Obok Nauki Pauliniego uczyliśmy się z Historij Biblijnych ks. Koczego, przyczem nauczyciel Mrowiec umiał również zainteresować uwagę uczniów opowiadaniem zawartych tam historyj.

Następowały rachunki. Mniejsi uczniowie ćwiczyli się w pisaniu cyfr na tabliczkach. Pisali najpierw liczby do 9, następnie składali dwudziestki, trzydziestki, aż doszli do setki. Starsi uczniowie ćwiczyli się w dodawaniu i odejmowaniu, inni w mnożeniu, dalsi w dzieleniu. Rachowano nawet ułamki, nauczyciel Mrowiec doszedł w swej szkole, aż do obliczania według reguły trzech. W innych godzinach odbywały się ćwiczenia w rachowaniu z głowy. Niektórzy z uczniów nabywali w tem niezwyklej wprawy. — Następowало ćwiczenie w czytaniu, według książki do czytania. Były tam zebrane praktyczne opowiadania. Między innemi był w książce do czytania wierszyk następujący:

Zapytał ojciec swojego syna,
Czy woli gruszkę z własnego ogrodu,
Czy pomarańczę soczystą?
Ja wolę gruszkę z własnego ogrodu,
Bo tamta obca a gruszka ojczysta.
Pochwalił ojciec roztropnego syna,
Że pięknie myśli za młodu.
Kto dzieckiem będąc, kochać kraj zaczyna,
Ten kiedyś będzie pociechą narodu.

Takie i podobne piękne powiastki utkwily z czasem w pamięci dziecka i przypomnialy się w niejedynej późniejszej połozeniu życia. Po godzinie czytania nastąpiła przerwa obiadowa. Kto co miał na obiad, kawałek chleba z masłem, lub kromkę suchego tylko chleba, wydobywał z taistry, dzielił się z sąsiadami i zjadał smacznie. Lepszy obiad czekał uczniów, gdy pod wieczór wrócili ze szkoły do domu. W czasie godziny obiadowej, robiliśmy w sali szkolnej rozmaite zadania i ćwiczenia z rachunków, gramatyki i innych przedmiotów. O godzinie 1. wstępował nauczyciel do klasy. Młodzież rozpoczęła naukę głośnie mowianiem modlitwy

Pańskiej, następowało czytanie z Nowego Testamentu, rachunki i ćwiczenia kaligraficzne. Gdy pisaliśmy według przepisów, występowali najmłodszy uczniowie na podniesienie przed nauczyciela i każdy przeczytał, czy to po składaniu, czy to po prostu to, co napisał.

W szkole naszej zaprowadzono wtedy trzy nowości, których dotychczas nigdzie nie widziałem. Dla nauk przyrodniczych zakupił nauczyciel dużą księgę z kolorowymi obrazkami poszczególnych zwierząt. Był tam lew, tygrys, lampart, lis i całe mnóstwo zwierząt, ptactwa, płazów, owadów, rzeczy, których dotychczas nigdy nie widziałem. Gdy uwaga uczniów zaczęła słabnąć lub objawiało się pewne zmęczenie, wtedy nauczyciel przerywał naukę, wystawiał nad tablicę księgę z zwierzętami, pokazywał ich obrazy i opowiadał o ich życiu. Jakże nas to interesowało, gdy widzieliśmy małpy biegające po drzewach, gryzące orzechy, wieloryba w morzu wyrzucającego prąd wody w górę, eskimosów polujących na zwierzęta mórz polarnych. Dużo opowiadałem w domu, jak piękną księgę mamy w szkole. Aby im dać wyobrażenie o niej, pobiegłem pewnej niedzieli do szkoły, prosząc p. nauczyciela, aby mi tej zajmującej księgi o zwierzętach wypożyczył na pół dnia. Ja ją dobrze zaopatrzę i przyniosę po południu z powrotem. Pan nauczyciel wypełnił mi prośbę. Z triumfem biegłem do domu i pokazywałem domownikom obrazy, zwierzęta. Jakże byłem zdziwiony, gdy zauważyłem, że ich te rzeczy wcale nie zajmowały. Zwierzęta obcych krajów były im zupełnie obojętne. Tego wtenczas nie mogłem pojąć, chociaż, jak się później okazało, ja sam nie miałem ani cząstki tego upodobania w przedmiotach nauk przyrodniczych, jakie mieli inni koledzy moi w średniej szkole.

Drugą nowością nabytą dla szkoły, była mapa monarchji austriackiej. Rzec taką widziałem wtedy pierwszy raz i nie mogłem pojąć, jak to można tak dokładnie odmalować całe kraje. Godzinami stałem przed mapą i przyglądałem się jej. Tu jest Cieszyn, tu Wiedeń, tu Kraków, tam Lwów, tu Węgry, tam Tryest itd. Granice austriackich krajów koronnych umiałem za krótki czas na pamięć i byłbym w stanie je odmalować. Najwięcej zajmował mnie jednak bieg linii kolejowych. W naszej okolicy nie było wtenczas żadnej kolei żelaznej, bo kolej koszycko-bogumińska powstała dopiero później. Dużo u nas o tych drogach żelaznych opowiadano, ale nie miałem sposobności ich widzieć. Przedstawiali niektórzy pociąg jako konia żelaznego, co ma ogień w ustach, dym rzuca w górę, a za sobą ciągnie cały szereg wozów z ciężarami. Jakże pragnąłem widzieć tego konia i wyglądałem chwili, gdy się sposobność po temu nadarzy. Wtem ojciec mój wybierał się do Próchniej na granicy pruskiej, gdzie

znajdowała się największa stacja kolejowa śląska, leżąca na linii Wiedeń-Kraków, by stąd odwieźć jakiś fracht do Ustronia. Zabrał mię z sobą, miałem wtenczas lat dziewięć, ale niestety, w czasie naszego w Próchniej pobytu pociąg nie przechodził i nie mogłem tego tajemniczego konia zobaczyć. Dopiero, gdyśmy wracając z Próchniej, ujechali już spory kawał drogi, dano mi znać, że pociąg jedzie. Widziałem, że coś długiego snuło się w dali, ale tak powoli, że ledwie byłem w stanie ruch ten zauważyć. Konia żelaznego dostrzec nie mogłem. Musiałem jeszcze kilka lat czekać, nim go zobaczyłem i nawet nim jechałem. Wśród ludzi, nieprzyzwyczajonych do nowości, krążyły wtenczas najróżniejsze pogłoski, opowiadano, że to rzecz grzeszna, jechać koleją, bo to tylko czary i djabeł z tem jest złączony, gdyż kto chce jechać, ten przecież musi zaprząć albo konia, albo wołu, a gdy ten ruszy, wtedy wóz idzie za nim. Tu zaś niema ani konia, ani wołu, tylko jakiś piec, w którym się pali, a cały szereg wozów z towarami pędzi za nim. Były osoby nietylko z prostaczków, lecz i wśród wykształconych, które za nic w świecie koleją jechać nie chciały, aż wreszcie kolej stała się rzeczą pospolitą, wszyscy z niej korzystali, i ci, którzy przedtem patrzeli na nią z niedowierzaniem.

Ja nie mając sposobności ani jechania, ani nawet oglądania kolei, siedziałem nad mapą wiszącą w szkole, wyszukiwałem wszystkie stacje zaznaczone na niej od Wiednia do Krakowa i nauczyłem się ich na pamięć.

Trzecią nowością w naszej szkole była nauka geografii, do której podręcznik wydał wtenczas właśnie nauczyciel Jan Śliwka w Cieszynie. Ledwie wyszła z druku, zaraz mi ją rodzice na moją usilną prośbę przynieśli z Cieszyna. Z jaką radością czytałem opisy naszej ziemi, poznawałem nieznane mi kraje i narody. Pamiętam, że zajęty mnie wtedy najwięcej dwie rzeczy, odkrycie Ameryki przez Kolumba i odkrycie Australji.

Do najważniejszych przedmiotów nauki zaliczano w naszej szkole, jak zresztą wszędzie w całej Austrii, naukę języka niemieckiego. Z domu po niemiecku nie umiałem ani słowa, rodzice moi języka tego nie znali, mówili tylko po polsku. W Austrii jednak uważano znajomość języka niemieckiego za konieczną i gdy szkolnictwo ludowe w r. 1868 zostało zreformowane, to uważano, że najprzedniejszym celem szkoły ludowej jest nauczanie dzieci języka niemieckiego. Wyliczono dlatego dokładnie, ile słów niemieckich ma i może się dziecko w przeciągu pierwszego roku szkolnego nauczyć, ile w następnym roku, i przypuszczano, że jeśli nauczyciel spełni w tym względzie swój obowiązek, to dziecko, które wstępuje w 6 roku życia do szkoły, o niemieckim języku nie miało najmniejszego pojęcia, opuszczając z 14 rokiem

życia szkołę, będzie doskonale mówiło niemieckim językiem. Lecz rychło okazało się, że pięknie wyliczone rezultaty pozostały tylko na papierze, w rzeczywistości nigdzie ich nie widziano. Wyuczenie się języka obcego nie jest rzeczą łatwą i wymaga dużo trudu i poświęcenia. W czasach mojego uczęszczania do szkoły takich postanowień jeszcze nie było, bo rząd o szkolnictwo niewiele się troszczył, a o szkoły ewangelickie nie troszczył się nic. Nauka języka niemieckiego była nadobowiązkową. Gdy nauczyciel zauważył zdolniejszego chłopca, wtedy pytał się go, czy chce należeć do oddziału uczącego się po niemiecku. Zwyczajnie zgłaszało się do takiego oddziału sporo chłopców, mniej dziewczyn. Z tymi nauczyciel codziennie przez pół godziny osobno pracował. Wyniki tej nauki nie były nadzwyczajne.

Trzeba jednak pamiętać, że wtenczas prawie każdy nauczyciel był pracą przeciążony. Dziś w szkołach nauczyciel ma 50, najwyżej 60 dzieci w klasie. Jeśli w klasie jest więcej dzieci, to dzieli się ją na paralelkę, i słusznie. Dawniejsi nauczyciele miewali w klasie nieraz 120 i więcej dzieci. Dziś nauczyciele prowadzą swe dzieci klasami, każdy rocznik ma swą klasę, każda klasa swego nauczyciela. Nauczyciel w szkole jednoklasowej musi łączyć wszystkie oddziały razem i musi sobie pracę tak rozłożyć, by, gdy pracuje z jednym oddziałem, drugi oddział zajęty był pisaniami lub rachunkami. Uwaga nauczyciela jest zatem ciągle zajęta, nie może przez kilka godzin odpocząć i to przy liczbie uczniów tak wielkiej, jaką miały dawne klasy. Dawni nasi nauczyciele byli istnymi olbrzymami, jeśli zdołali swemu zadaniu sprostać, jak sprościli mu Szyguł, Mrowiec, Śniegoń, Macura i wielu innych. Zasłużyli oni sobie też na wielką wdzięczność ludu.

Ale praca takiego nauczyciela nie ograniczała się tylko na szkołę. Oni odbywali uroczystości pogrzebowe w swych gminach, czy na pogrzeb przybył pastor, albo czy go nie było. Nauczyciel dobierał sobie do pomocy kilku starszych chłopów, później nieraz i dziewczyn, i z nimi prowadził śpiew pogrzebowy. Śpiewano wtedy w domu, trzy lub cztery pieśni, następnie nauczyciel czytał przemówienie pogrzebowe, które sam sobie przygotował, w czym niejednen z nauczycieli nawet zasłynął nietylko w gminie, ale i w dalszej okolicy. Gdy zakończyło się nabożeństwo domowe, szedł na czele orszaku na cmentarz. Mrowiec nasz miał głos i płuca doskonałe. Daleką drogą inni się męczyli, on się nie męczył. Było trzeba iść pod górę od Trzyńca na cmentarz do Górnej Lesznej, to inni młodszy męczyli się drogą i tchu im brakowało. Nauczyciel Mrowiec nigdy się nie męczył i nigdy nie zatchnął, czystym, mocnym głosem prowadził śpiew, nawet i wtedy jeszcze, gdy mu włos posiwiał i na barkach

swych dźwigał już lat siedemdziesiąt. Zdawało się, że życie jego potrwa ponad zwykłą miarę, ale niestety umarł niespodzianie. Gdy zakończył pięćdziesiąty pierwszy rok pracy nauczycielskiej, ustąpił na emeryturę, lecz jej długo nie używał. W kilka miesięcy po ustąpieniu z pracy nauczycielskiej umarł nagle. Czy udar przyszedł, jako skutek przesilenia w pracy nauczycielskiej, czy w skutek tęsknoty za swoją szkołą i szkolną działalnością, któż to orzec zdoła? Tak umarł weteran szkolnictwa, nad którego grobem ozywa się głos Pana mówiący: Sługo dobry i wierny, nad małym byłeś wiernym, nad wielą cię postanowię. Wnijdź do radości Pana twego.

Jeden epizod z życia nauczyciela Mrowca, zasługuje na wzmiankę i jest charakterystycznym. W ostatnim roku służby nauczycielskiej postanowił Mrowiec obejrzeć sobie szeroki świat. Za towarzysza podróży obrał swego syna ks. Jerzego Mrowca, pastora w Wiśle. Zapewniwszy sobie bilety podróży okężnej, jechali przez Węgry, na Budapeszt do Fiume. Naraz w drodze ogarnęła serce staruszka taka tęsknota za domem, gospodarstwem, szkołą i uczniami, i wytrzymać nie mógł, że zaczął robić sobie wyrzuty: „Cóż się mi też stało, czy mię te pieniądze tak strasznie w kieszeni świerzbowały, że się aż tutaj wybrałem.“ Nie pomogły przedstawienia i prośby syna, stęskniony ojciec porzucił zapłacony bilet jazdy okężnej, nie jechał do Wenecji, lecz linią najprostszą przez Alpy i Wiedeń wrócił do Trzyńca i do domu. Przez dziesiątki lat tak się zrosł ze swym krajem, ludem, jego strojem, że mu się w obcych stronach ani przez chwilę nie podobało. Mówią o miłości Szwajcarów, którzy w obcych znajdując się stronach, tęsknią do gór ojczystych i jezior alpejskich. Ale nie Szwajcarzy jedynie tak czynią, i śląskie dzieci miłują swój kraj.

Nauczyciel Jerzy Mrowiec był człowiekiem bardzo wesołego usposobienia. Troski rozmaite miał, bo któż ich nie ma, ale umiał je przewycieżyć. W towarzystwie był dowcipnym, zabawnym, wesołym, nikomu w niczem nie ubliżając. Na weselach i gościnach zabawiał gości, przeto nie było w gminie jednego wesela lub uroczystości, na którąby go nie proszono. Małżonka jego, niewiasta cicha i poważna, stała aż do śmierci wiernie przy jego boku. Nad jej mogiłą powiedział ks. senjor Terlica: „To było złote serce.“

Że mój nauczyciel był dla mnie życzliwym, świadczy o tem okoliczność, że już w drugim roku uczęszczania do szkoły dostałem się na miejsce premianta. To stanowisko zajmowałem aż do końca mego uczęszczania do szkoły w Górnej Lesznej. Niezawsze może na to zasłużyłem, bo w pewnych latach nauka moja bywała przerywana. Rodzice moi nie mieli przez pewien czas pasterza do krów i wło-



żyli ten obowiązek na mnie. Nieraz w południe, gdy wróciłem z paszy, pobiegłem do szkoły, a wróciwszy, znowu pędziłem bydło na pastwisko. Nauki moje odbywały się wtenczas wśród trudnych okoliczności.

O jednym jeszcze wypadku z czasów nauki w Lesznej chcę wspomnieć. Było to jakoś niedługo po wstąpieniu mojem do szkoły. Jakoś w południe rozboliła mnie głowa i czułem się bardzo osłabionym. Po skończeniu nauki, wybrałem się w drogę do domu, lecz nie mogłem innym dotrzymać kroku. W połowie drogi trzeba było przechodzić przez przełaz, przez ogrodzenie mające jeden stopień do przejścia przez płot. Na ten stopień już wejść nie mogłem, brakło mi sił, usiadłem na stopniu i zemdlałem. Nie wiem, jak długo byłbym tak wisiał lub leżał na ziemi, gdyby nie była wyszła gospodyni tego gospodarstwa i wzięła mnie do domu. Rozebrała mię, zawiązała głowę, kadziła jakimś kadzidłem, włożyła do łóżka i przykryła pierzyną, poczem zasnąłem snem twardym i zdrowym, a gdy w dwie godziny się obudziłem, czułem się zdrów i pokrzepiony tak, że mogłem się puścić w dalszą drogę. Był to dom katolicki a gospodyni była katoliczką, lecz nad biednym chłopcem, choć ewangelickim, ulitowała się, za co jej serdecznie podziękowałem i pamięć o tem chowam w sercu po dziś dzień.

Nauki gimnazjalne.

Ojciec mój żył jeszcze w pańszczyńnianym czasie i objął gospodarstwo w stanie zaniedbanym. Trudno było bowiem rolnikowi za czasów pańszczyzny prowadzić porządnie swe gospodarstwo, gdy trzeba mu było kilka dni w tygodniu pracować nie dla siebie, lecz na pańskim. Rola więc była zaniedbana, budynki gospodarcze zniszczone, w domu ni grosza ni chleba nie było. Przeto gdy w r. 1856 objął ostatecznie gospodarstwo, postanowił w sercu nie spocząć ani chwili, aż przywiedzie swe mienie do ładu. Był to człowiek prosty, lecz inteligentny, przytem niezmiernie pilny, pracowity, oszczędny i bogobożny. Nieprawego grosza nie byłby za nic w świecie przyjął. Wstawał rano pierwszy, budził śpiącą czeladź. Parobcy czyścili i karmili konie, służące krzątały się koło krów i stajni, matka gotowała śniadanie, a po spożyciu tegoż wszyscy szli do swej pracy. Gdy była pora, sam z pługiem wyjeżdżał, uprawiał rolę i siał nasienie. Pługa nikomu nie poruczył. Gdy uprawa roli była ukończona, wyjeżdżał na furmankę, wożąc węgiel kamienny z Karwinej do Trzyńca, lub na majątek dzierżawcy Kuczy w Dolnej Lesznej. Grosza zapracowanego nigdy nie wydał na marne, ale spłacał ciężące na realności długi, wznosił budynki gospodarcze i składał na oszczędność, aby synom swoim, a

było nas czterech, zabezpieczyć kiedyś lepszą przyszłość, niżeli ją miał on sam. I jeśli nam synom otworzyła się przyszłość lepsza, to zawdzięczamy to wszystko nieustrudzonej pracy naszych rodziców. Ojciec, doszedłszy do zabezpieczenia bytu rodziny, został przez obywateli zaszczycony ich ufaniem przez oddanie mu godności wójta. Urząd ten piastował przez jedenaście lat, utrzymując wszystkie rzeczy w najlepszym porządku. Potem oddał godność tę innym, cofnął się od spraw publicznych, żyjąc wyłącznie gospodarstwu i rodzinie. Zawiadywanie sprawami kościoła goleszowskiego pełnił i nadal. Energiczna jego działalność nie wszystkim, nawet i nam synom nie zawsze się podobała, ale gdyby nie praca rodziców i energja ojca we wszystkich sprawach życia, nigdyby rodzina nie była wybrnęła z ciemności życia śląskiego kmiotka. Rodzice pracowali, a ich synowie (córek nie było) korzystali z błogosławionych skutków tej pracy. Gdy rodzice doszli do pewnego dobrobytu, mogli swobodniej myśleć o losie swych dzieci. Ja ukończyłem szkołę ludową i nie mogłem się w niej niczego więcej nauczyć. W ostatnim roku szkolnym udzielał mi nauczyciel prywatnych lekcyj, abym się mógł lepiej do szkoły łacińskiej przygotować.

Wtem w sąsiedztwie umarł gospodarz zamożny, pozostawiając cztery córki, z których jedna miała dziedziczyć obszerne gospodarstwo, siostrom zaś spłacić wyznaczony posag, jako dział na nich przypadający. Ojciec tych córek wyznaczył na łożu śmierci mego ojca za opiekuna dzieci, sąd zaś wolę tę zatwierdził. Ta okoliczność obudziła w ojcu myśl, czy nie lepiej pozostawić mnie w domu przy gospodarstwie, a potem dopomóc do objęcia sąsiedniego gruntu i gospodarstwa. Długo namyślał się nad tem, ale wkońcu, widząc, że mam do nauk ochotę i że zdolności mi nie brakło, widząc też mą nędzną budowę ciała i niezbyt wielki zapał do rolnej pracy, postanowił wytrwać przy dawniejszem swem postanowieniu i oddać mię do gimnazjum cieszyńskiego. Zamiar ojca co do owego osierociałego gospodarstwa spełnił później mój młodszy brat Paweł. Przedemną otwarły się bramy ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie.

Były tam wtenczas dwa gimnazja, jedno ewangelickie, drugie katolickie, oba były w tym czasie utrzymywane przez rząd, aż je w r. 1870 złączono w jedno gimnazjum państwowe. Aż do połączenia miało gimnazjum, umieszczone w zborowym domu szkolnym, charakter ewangelickiego gimnazjum. Ponieważ poza niem nie było w Austrii ewangelickiej szkoły średniej, więc z całej monarchji austriackiej schodziła się tu corocznie młodzież ewangelicka, którą rodzice chcieli mieć w ewangelickiem środowisku. Nauka odbywała się w języku niemieckim, w alumneum jednak, utrzymywanem przez zbór,

w którym znajdowało stale kilkadziesiąt uczniów tanie utrzymanie, słyhać było najrozmaitsze języki, wszystkie, jakie tylko w Austrii istniały.

Było to dnia 29 września, prawie w sam dzień Michała. Ojciec mój włożył na wózek moje nowe łóżko, siennik ze słomy, pościel i skrzynię do przechowywania mych rzeczy. Ja przywdziałem mój nowy ubiór, do którego należał i nowy kapelusz. Pożegnałem się z matką pogrążoną w łzach, z ciotką Zuzanną, z braćmi i wszystkimi domownikami i ruszyliśmy w bardzo ważną podróż do Cieszyna. Tam przybywszy, złożył ojciec moje rzeczy w bardzo skromnym domku pewnego woźnicy, który mnie przyjął do swego pokoju na mieszkanie. Wiktu dostarczali mi z domu rodzice, tylko mi go moja nowa gospodyni gotowała. Gdy formalności połączone z wprowadzeniem się na nowe mieszkanie załatwiono, wybraliśmy się w drogę do gimnazjum ewang. W uroczystym nastroju przekroczyłem próg kancelarji. Przyjął nas uprzejmie i powitał poważny pan o czarnym zaroście i miłym spojrzeniu. Był to dyr. Kalinczak, z urodzenia Słowak, który zajmował stanowisko dyrektora ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie. Wysłany tu był przez rząd austriacki, który wtenczas, przez czas zresztą krótki, okazywał Słowakom wielką przychylność. Obejrzawszy świetne świadectwo, które wyniosłem ze szkoły nauczyciela Mrowca, zadał mi kilka ogólnych pytań w języku niemieckim, rozgarnął mi włosy, które zwyczajem panującym na wsi wisiały na czoło, rozkazał w przyszłości tak po studencku zaczesywać włosy i wypuścił nas z kancelarji. O drugiej godzinie miałem się wraz z innymi zapisanymi chłopcami odstawić do egzaminu wstępnego. Dotąd widziałem, że sprawa nie była tak straszna, jak ją sobie wyobrażałem. Byłem do pierwszej klasy gimnazjalnej zapisany, lecz przyjęcie moje nie było jeszcze zupełnie zapewnione. O tem miał rozstrzygnąć egzamin wstępny, przeważnie piśmienny.

O drugiej godzinie po południu zebrała się spora liczba uczniów do egzaminu wstępnego. Byli chłopcy miejscy, w mieście wychowani, występujący z wielką pewnością siebie, egzamin bowiem był dla nich, ze względu na ich znajomość języka niemieckiego, zgoła tylko formalnością. Byli też chłopcy z Moraw i Czech, którzy mówili z sobą po czesku, w niemieckim języku mieli jednak pewną wprawę. Przyszli z daleka, by uczęszczać do ewangelickiego gimnazjum i dla nich było to rzeczą pewną, że do gimnazjum przyjęci zostaną. Było nas też kilku podobnych do siebie, dzieci naszej śląskiej ziemi, synów wiejskich, polskich rodziców. Na pierwsze sporzenie było nas można poznać, z fizjognomji, ze stroju, z całego zachowania się było widoczne: to polskie dziecię, to syn ewangelickiego rolnika na Śląsku. Zasiedliśmy

do ławek; według zlecenia przynieśliśmy z sobą papier i rączkę z piórem do pisania i kawałek bibuły do osuszania. W następnej godzinie wstępuje do sali jakiś pan z potężnym wąsem i dyktuje nam jakieś niemieckie zadanie. W piśmie niemieckiem miałem ze szkoły wiejskiej nienajgorszą wprawę, mogłem więc zrobić zadanie nienajgorzej. Nastąpiło niemieckie czytanie, które mi również nie sprawiało zbytnich trudności. Trudniej było mi zrozumieć, gdy kto mówił po niemiecku, bo ucho moje do tego języka przyzwyczajone nie było. Z zadania egzaminowego wywiązałem się dosyć dobrze. Na drugi dzień zgromadziliśmy się o godz. 8 rano w pierwszej klasie gimnazjalnej, gdzie nam ogłoszono wynik egzaminu. Dla mnie wynik był pomyślny. Zostałem przyjęty do pierwszej klasy gimnazjalnej, cofniętych zostało tylko kilku. Jakich 60 chłopców różnego stanu, języka i pochodzenia złączono nas razem, abyśmy wspólnie przez lat kilka do jednej chodzili szkoły i wspólny dzielili los studenta.

O godz. 10 dopołudnia prowadzono nas do sali budynku gimnazjalnego na nabożeństwo. Gdzieindziej odbywają się takie nabożeństwa w kościele. W Cieszynie była do tego świetna sposobność. Piękny duży kościół Jezusowy stał dla nas otworem, lecz nabożeństwa szkolne na początku i końcu półroczna lub roku szkolnego odbywały się zawsze w sali gimnazjalnej. Duża i jasna sala była tak urządzona, że w środku stał duży, zielonym suknem pokryty stół, koło niego krzesła dla dyrektora i profesorów. Po obu stronach stały liczne rzędy ławek ustawionych grupami, w których siedzieli uczniowie poszczególnych klas. Z jaką powagą i poszanowaniem patrzyliśmy my biedni chłopcy wiejscy, uczniowie pierwszej klasy na uczniów najwyższych klas, którzy znowu dumni i pewni siebie spoglądali na nas.

Zaśpiewaliśmy pieśń z niemieckiego kancjonału, jeden ze studentów grał na małych organach będących w sali, katecheta odprawił liturgję i wygłosił krótkie okolicznościowe przemówienie, poczem zabrał głos dyrektor; powitał profesorów i uczniów, gromadzących się w sali na rozpoczęcie roku szkolnego i tłumaczył obowiązki, które na siebie bierzemy. Następnie przeczytał wszystkie postanowienia statutu szkolnego. Odśpiewaliśmy jeszcze pieśń religijną. Ks. katecheta udzielił zebrany błogosławieństwa, poczem wszyscy powstali z miejsc, by zaśpiewać hymn ludu. Tak zakończono pierwsze nabożeństwo szkolne w ewangelickim gimnazjum, w którym ja mogłem wziąć udział.

W następnym dniu rozpoczęto regularną naukę szkolną. Nauka trwała od godziny ósmej do jedenastej rano i od godziny drugiej do czwartej po południu. Pierwszym przedmiotem była nauka języka niemieckiego. Czytaliśmy jakąś powiastkę, a profesor, człowiek otyły, ale dobroduszny i

uprzejmy, dawał potrzebne objaśnienia. Na szczęście, gdy pojawił się jaki wyraz nam niezrozumiały, to profesor natychmiast tłumaczył go nam na język polski i w ten sposób ułatwiał nam w znacznej mierze naukę. W drugiej, następnej godzinie przyszedł profesor drugi, by rozpocząć naukę geografii, człowiek nieduży, z okularami na nosie, w płaszczu studenckim, o chodzie jak gdyby wojskowym. Chłopcy szeptali: to profesor Raszke, lub też „deutscher Jüngling“, jak go nazwano. Miał ruchy bardzo energiczne i robił wrażenie człowieka bardzo rezolutnego. W gruciacie rzeczy nie był tak szorstkim, jak się wydawało, ale był zajęty niemcem. Przez wszystkie lata nauki z ust jego nie słyszeliśmy ani jednego polskiego lub słowackiego słowa. Usiadł przy stole, wziął do ręki książkę i począł wykladać. Myśmy słuchali z otwartymi gębami, ledwie tu i ówdzie rozumiejąc jakieś słowo, ale profesor nie troszczył się nic o to, czy uczniowie jego wykład rozumieją. To niemiecka szkoła, a jeśli wy chłopcy języka nie rozumiecie, to po co tu przyszlście! W następną swoją lekcję zaczął wywoływać z ławek przed katedrę, pytał treści zadanego ustępu i pisał cenzury bez względu na to, czy uczeń umiał mówić, czy też języka nie znał. Myśleliśmy, że pochodził chyba co najmniej z Berlina. Tem większe było nasze zdziwienie, gdy dowiedzieliśmy się, że pochodzi z Ligołki Kameralnej, gdzie jego ojciec był pastorem i nigdy podobno po niemiecku nie kazał; że jego brat był słynnym kaznodzieją w Bystrzycy, gdzie też tylko polskie miewał kazania. Skądże jemu taka niemieckość? Nazywał i pisał się Raschke — czy to nie pochodzi z polskiego Raszka? Takie pytania nasuwały się nam chłopcom, ale ponieważ Raszke był mężem dzielnym, ponieważ dla młodzieży gimnazjalnej mimo swe dziwactwa miał jednak serce a nam polskim chłopcom nigdy nie ubliżał, darowaliśmy mu jego dziwactwa i nawet szczerze mogliśmy go polubić. Co poza granice niemieckości wychodziło, to dla niego nie miało żadnego znaczenia. Gdybym nie był miał książki z tekstem, to siedziałbym na wykładach Raszkego, jak na tureckim kazaniu. Z biegiem czasu przyzwyczailem się do jego słów a nawet z przejęciem się słuchaliśmy jego wykładów z dziejów powszechnych.

Daleko większe trudności sprawiała mi nauka religii. Była bowiem taką, jaką być nie powinna. Podręcznik ułożony w języku niemieckim miał formę tak oderwaną i suchą, dla młodzieży wogóle, a w szczególności dla młodzieży polskiej tak niezrozumiałą, że nauka z niej była dla nas prawdziwą męczarnią. Wyroków biblijnych było przy każdym ustępie bardzo dużo, a profesor, Słowak z urodzenia, ani w niemieckim, ani w polskim języku nie posiadał biegłości. Koledzy moi uczyli się jak papugi, aby w danej chwili mogli

wszystko z pamięci wyrecytować, ja nie miałem takiej pamięci jak oni. Za dużo musiałem się uczyć, by ustęp jakiś niezrozumiany wbić w pamięć. Za to jednak, gdy zapamiętałem jakąś rzecz, to pamiętałem ją i po dziesiątkach lat. Ale ta trudność zachowania przedmiotu nauki w pamięci, sprawiała mi dużo kłopotu. Wszystkie przedmioty razem wzięwszy nie sprawiały mi tyle trudności, ile sprawiała mi ich nauka religii i jej nieszczęśliwy podręcznik, z swemi abstrakcyjnymi paragrafami. A prof. Lic. Borbis był nieubłagane ostrym nauczycielem, albo umieć wszystko na pamięć, albo ostra kara. Smutne to wyznać, lecz muszę to powiedzieć, że nam naukę uczynił nieznośną. Z jakimże zapałem uczyłem się nauki religii w szkole ludowej, polskiej, — a z jaką niechęcią brałem się do tego samego przedmiotu w języku niemieckim. Bardzo wielka szkoda, że często nauczyciel sam, biorąc się do rzeczy niepedagogicznie i bez zrozumienia uczuć i duszy młodzieży, może uczniom wprost obrzydzić przedmiot nauki. Przesąd zaś, wytworzony przez niechęć, niełatwo potem z serca wykorzenić. Wielki zelotyzm prowadzi wprost do ateizmu, jak się to w wielu wypadkach stało. Natomiast w profesorze Karolu Gaździe mieliśmy prawdziwego ojca i przyjaciela. Profesor Gazda pochodził z śląskich, polskich, jednakże po niemiecku myślących rodziców, miał jednak dla swych ziomków, dla wiejskich polskich chłopów wiele zrozumienia. Była to dziwna struktura myślowa; gdyby mu kto był powiedział, że jest polakiem, to byłby się oburzył, lecz dla młodzieży polskiej miał wyrozumienie i nawet życzliwość. Język polski w gimnazjum był wtenczas tylko przedmiotem nadobowiązkowym, cenzura z niego nie miała na świadectwo i ocenę ucznia żadnego wpływu. Gazda był również nauczycielem języka polskiego, lecz nauka ta była tak marną, że pozostała dla nas bez najmniejszego znaczenia. Ja z wiejskiej szkoły nauczyłem się tego przedmiotu daleko lepiej, niż można to było uczynić w ówczesnem gimnazjum cieszyńskiem. Dopiero w wyższem gimnazjum, gdzie polskiego języka uczył Niemiec, lecz dobry pedagog prof. Armand Karell, mogłem się więcej nauczyć.

Początków gramatyki języka łacińskiego uczył w pierwszej klasie profesor Gazda, a w tem był on mistrzem. Zadawał sobie trud, by dopilnować, aby uczniowie uczyli się lekcji nie mechanicznie, lecz by naukę tę praktycznie zastosowali i gruntownie sobie przywłaszczyli. Ustawiczne praktyczne ćwiczenia miały uczniów do tego celu prowadzić. Najpierw kompozycje, czyli ćwiczenia piśmienne. Nauczyciel dyktował nam kilka niemieckich zdań, pisał je nawet kredą na wielkiej tablicy, by nikt fałszywie zdania do własnego zeszytu nie wpisał, poczem dał uczniom kilkanaście minut czasu, by mogli te zdania przetłumaczyć na język łaciński.

Zeszyty trzeba było oddać profesorowi, który brał je z sobą do domu, podkreślał błędy i wydawał cenzurę (notę). Poprawki i cenzury pisane były czerwonym inkaustem, by tem dobitniej wpadły w oko. Błędy gramatyczne były dwa razy podkreślone i uchodziły za cały błąd, błędy ortograficzne były tylko raz podkreślone i uchodziły za pół błędu. W ten sposób umiał profesor zachęcić uczniów do przywłaszczania sobie gramatyki i jak najlepszego zastosowania jej przy wypracowaniu zadania. Wkrótce doszło do tego, że moje kompozycje miały stosunkowo najmniej błędów. — Drugi sposób ćwiczenia polegał na tem, że profesor ustawiał wszystkich uczniów wzdłuż ściany i zadał pierwszemu pytanie: Bylibyście śpiewali. Niekiedy pierwszy nie mógł się natychmiast połapać, więc zadał je drugiemu, trzeciemu, który skombinowawszy odpowiedź wołał: cantaveritis. Dobrze, rzekł profesor, i ucznia z czwartego miejsca postawił na pierwszym. Piątemu zadał pytanie: Byliby byli śpiewali. Chłopiec dał złą odpowiedź albo nie dał żadnej, profesor natychmiast pyta następującego i dalszego, aż otrzymał odpowiedź: cantavissent. Natychmiast tego ucznia postawił przed tymi, którzy albo złą, albo żadnej odpowiedzi nie dali. Te gramatyczne ćwiczenia trwały niekiedy przez całą godzinę, a szereg uczniów przy jej ukończeniu wyglądał zupełnie inaczej, niż przy jej rozpoczęciu. Zdolni uczniowie wpływali na wierzch, słabsi lub nieuważni cofali się w tył. W każdym razie doszliśmy do niezwykłej biegłości w orjentowaniu się w formach konjugacji i deklinacji. Ja w tych praktycznych ćwiczeniach gramatycznych w krótkim czasie doszedłem do wielkiej biegłości. Prof. Gazda uczył stale pierwszą klasę i przygotował uczniów tak dobrze, że przyносили oni do drugiej klasy znajomość dokładną początków tego klasycznego języka. W gronie profesorów uważano Gazdę za trochę słabego nauczyciela i dawano mu zawsze tylko pierwszą klasę, co i uczniów utwierdzało w tem mniemaniu, iż profesor Gazda dla wyższych klas nie posiada uzdolnienia, tak, że i uczniowie i profesorowie traktowali go lekko. Pewnego razu zjawił się nowy inspektor szkolny. Energiczny, zbadał stan nauki i wydał profesorom niebardzo pochlebne świadectwo. Popatrzcie się panowie, powiada, na tego staruszka, któremu oddano tu najniższą klasę, od niego się uczcie, jak trzeba nauczać. To jest jedyny pedagog między wami! Można sobie wyobrazić, jak to świadectwo podziało na wszystkich profesorów. Zaczęto patrzeć na niego innemi oczyma.

Profesor Gazda był pierwotnie wikarym u boku pastora w Błędowicach. Gdy po śmierci tegoż zbór powołał innego pastora, Gazda został profesorem gimnazjalnym w Cieszynie. Dla stanu duchownego miał zawsze wielkie

uwielbienie. Zdarzało się czasami, że przy większych pogrzebach życzone sobie aż trzech pastorów. W takich wypadkach proszono prof. Gazdę o udział w pogrzebie. Opowiadali koledzy jego, z jakim namaszczeniem wkładał prof. Gazda szatę duchowną i kroczył w orszaku pogrzebowym. Niestety cierpiał bardzo na astmę i umarł, nim jeszcze 51 rok życia dokończył, pozostawiając w opłakanym stanie żonę i pięcioro dzieci. Losem opuszczonych zajęli się koledzy Zgasłego, w szczególności prof. dr. Odstrčil, wspierali ich podczas nauk gimnazjalnych i na wszechnicy, aż powoli wszyscy doszli do stanowiska i do chleba.

Dla nas chłopców wiejskich prof. Gazda był prawdziwym ojcem. Radził, napominał, przestrzegał, zaklinał, często aż płakał, nim któremu z uczniów zapisał złą notę. Wzywał do siebie rodziców, donosił im o postępach synów, wzywał do karania leniwych i niedbałych, — słowem był to człowiek dobry, prawdziwie chrześcijański pedagog i ojciec. Dla mnie skromnego chłopca wiejskiego był prof. Gazda życzliwym przyjacielem. Po jego śmierci gimnazjum ewangelickie nie miało już takiego opiekuna uczniów.

Jeszcze jednego z nauczycieli muszę tu przypomnieć, Oskara Žlika, syna ks. Andrzeja Žlika z Cieszyna. Był to człowiek średnich lat życia, kawaler, egzaminu nie miał. Uczył nas nauk przyrodniczych i matematyki. Dla tej ostatniej nie miał jakoś serca, nie zadawał sobie też z nią żadnego trudu, zato jako przyrodnik był nauczycielem nadzwyczajnym. Przesiadywał dużo w kawiarni. Rano wstawszy szedł do kawiarni, przed ósmą maszerował z kawiarni do szkoły, o jedenastej wracał do kawiarni i opuszczał ją tylko na godzinę, by spożyć obiad, bo o pierwszej już znowu siedział za stolikiem w kawiarni. O drugiej musiał iść do szkoły, ale o czwartej już znowu tam wracał i bawił tam do nocy. Gdy wiosna nastała, znosili mu uczniowie całe naręcza nazbieranych roślin, kładli je na katedrze, stanęli półkołem koło niej, a Oskar Žlik brał jedną po drugiej, wymieniał nazwę niemiecką i łacińską, które wszystkie znał doskonale, przedstawiał właściwości rośliny, wskazywał, do której klasy według systemu Linnego należy ją zaliczyć, i w ten sposób praktycznie uczył młodzież przedmiotu. Gdy było trzeba egzaminować, brał roślinę, podał uczniowi i teraz uczeń musiał wszystko powiedzieć, nazwę niemiecką i łacińską, klasę według systemu Linnego, jednym słowem wszystko, co o roślinie wiedzieć trzeba. Nauka ta była dobrą, pogładową, a Žlik umiał uczniów tak zapalać do przedmiotu, że ci zachwyceni i porwani zapalem nauczyciela, często zaniedbywali inne przedmioty nauki, gonili za roślinami, za owadami wszelkich gatunków, za motylami, składając herbarja, zbiory owadów i motylów, prowadząc cały handel z amatorami

tych rzeczy w dalekich nieraz okolicach. Że z handlu takiego można było żyć, wiem z doświadczenia. Znałem bowiem pastora na Słowaczyźnie, dobrego znawcę botaniki, który żyjąc w górskim, małym zborze, trudnił się składaniem zielników, które sprzedawał, osiągając z tego taki zysk, że mógł utrzymać i w życie wyprowadzić swe dzieci. Niestety Oskar Żlik przeniósł się z Cieszyna do Bielska i tam niedługo potem umarł. Z jego odejściem ustał wśród młodzieży ten piękny zapał i zamięlowanie dla przyrody, przestano zbierać rośliny, owady, motyle i wędrować po kraju, poznając przytem jego piękność.

Miasto Cieszyn było niegdyś całe polskie, tak jak polskim był cały kraj i lud. Z biegiem czasu szlachta śląska uległa germanizacji, za nią poszła i ludność miejska, jedynie lud wiejski zachował swój język i swą narodowość. My dzieci polskie czułyśmy się dlatego w mieście i szkole zupełnie obcemi, chociaż pochodziłyśmy z bezpośredniego sąsiedztwa. Żał nam było naszego macierzyńskiego języka, który na korzyść języka niemieckiego wszędzie usuwany był na bok. Aby go nie zapomnieć i znajomość jego pogłębić, zawiązaliśmy między sobą związek, który nas miał utrwalić w wykonaniu zamiaru kształcenia się w macierzyńskim polskim języku, poznania dziejów i piśmiennictwa polskiego. Politycznego charakteru związek ten nie miał i mieć nie mógł ze względu na ustawy szkolne, chodziło tylko o kształcenie się. Profesorowie wiedzieli o tem, że się zbieramy, ale znając cel związku, udawali, jakoby nie wiedzieli o niczem. Tu w tym związku zapoznaliśmy się z podstawowemi wiadomościami z historii i literatury polskiej.

Ożywione zostały te pragnienia przez przyjście ks. dr. Otto do Cieszyna. Koło niego zaczęła się natychmiast skupiać polska młodzież gimnazjalna, przejmowała się jego ideałami, zajmowała się sprawami narodu polskiego, kształciła się w języku polskim, którym ks. Otto przepięknie władał. Ks. dr. Otto wywierał dziwne wrażenie na wszystkich i nie było wstydem być w towarzystwie, w którym zjawiał się ten mąż. Ze szkoły jego wyszli mężowie jak ks. Franciszek Michejda, ks. Jerzy Badura, kier. szkoły Jan Kubisz, kier. szkoły Adam Macura i inni, którzy sprawę rozbudzenia narodowego na Śląsku w wielkiej mierze posunęli naprzód. Wodzem i hetmanem tego ruchu wśród ewangelików był później ks. Franciszek Michejda, którego przemówienia owiane duchem narodowym czytane i znane były nawet w Ameryce. On był niby duchową sprężyną całego ruchu, do czego pomagało mu niezależne stanowisko w niewielkim zborze nawiejskim.

Jako uczniowie polskich rodziców mieliśmy początkowo w ściśle niemieckiem gimnazjum wielkie trudności językowe

do przewyciężenia. Ucho nasze nie było nawykłe do dźwięku niemieckiej mowy, nie mogło też należycie prędko połapać wyrazów, język nie był tak giętkim, by mógł wymawiać każde słowo, jak je wymawiać należało, zapas wyrazów nie był tak obfity, iżbyśmy każdą myśl natychmiast należycie mogli ująć w słowa. Gdy do pierwszej klasy wstąpiłem, kazał mi profesor czytać jakiś ustęp z niemieckiej książki do czytania. Czytałem, a tu widzę, że profesor się uśmiecha, tłumia śmiech uczniowie, którzy niby uważnie słuchali, aż wkońcu cała klasa wybuchła głośnym śmiechem, wołając, że śpiewam a nie czytam. Nie rozumiałem tego śmiechu, kiedy ja przecież każde słowo wyraźnie czytałem. Cóż było w tem śmiesznego? Rzecz miała się w ten sposób, że ja niemieckie słowa czytałem w brzmieniu polskiem, akcent kładłem na przedostatnią zgłoskę, jak się to czyni w naszym języku, nie brałem względu na długie czy na krótkie zgłoski, zgłoski twarde czytałem jako miękkie. Tych tajemnic językowych nie znałem i z poznaniem ich miałem jeszcze dużo do walczenia. Niemieckie zadanie napisałem dobrze, ale gdym je czytał, to koledzy się śmiali. Tak było aż do czwartej klasy gimnazjalnej, w której język niemiecki przestał mi być obcym. Ten proces zrozumienia i przywłaszczenia sobie języka niemieckiego musieli wszyscy polscy uczniowie przechodzić, zwłaszcza zaś ci, którzy od dzieciństwa w domu rodzicielskim nigdy niemieckiego słowa nie słyszeli. Lecz gdy taki chłopiec polski przyzwyczał się do używania języka niemieckiego i należycie go sobie przyswoił, to miał wszystkie trudności nauki w niemieckiej szkole przewyciężone. W pierwszej i drugiej klasie byłem według postępów z kolei trzynastym, w trzeciej byłem już czwartym, w klasie piątej byłem od razu pierwszym. W szczególności okazało się to w wypracowaniach piśmiennych, w których chłopcy polscy ku niemałemu zgorszeniu niemieckich współuczniów zdobywali najlepsze cenzury. Gdyśmy zdołali przewyciężyć pierwsze trudności, to potem nauka postępowała już dobrze. Jeśli zaśilki z domu rodzicielskiego na życie, na ubiór, na książki nie wystarczały, to mogliśmy sobie zarobić nawet kilka groszy przez udzielanie lekcyj prywatnych słabszym niemieckim uczniom.

Często potem zaczęła się pokazywać trudność z językiem polskim. Wziąwszy do ręki poezje Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego zauważyliśmy, jak bardzo zaniedbaliśmy nasz własny język, ile brakowało nam słów, ile pojęć różnych. Ukończywszy piątą klasę, wziąłem z sobą do domu „Pana Tadeusza“ i „Konrada Wallenroda“. Nie miałem dużo czasu do nauki, bo jak inni domownicy musiałem, będąc w domu, pracować na roli, szczególnie przy żniwie, lecz chwilami przecież mogłem się zająć książką. Tu się pokazało,

że mi do poznania treści brakuje nawet znajomości wyrazów. Rozumie się, chodziło mi o dokładne przeczytanie książki, nie o pobieżne przelecenie jej. Poszedłszy do Cieszyna, kupiłem słownik polsko-niemiecki i czytałem własnych poetów jak gdyby autorów łacińskich lub greckich. Czytałem te poezje tak dokładnie i z takim zapalem, że „Konrada Walenroda“ umiałem prawie na pamięć. W ten sposób poznałem piękność własnego języka polskiego — w niemieckim gimnazjum w Cieszynie. Egzamin dojrzałości zdawałem na własne życzenie także z języka polskiego. Dano mi tylko jakieś piśmienne zadanie do opracowania, a gdy się z niego w celujący sposób wywiązałem, zwolniono mnie od ustnego egzaminu. We wszystkich przedmiotach nauk gimnazjalnych miałem przy maturze stopień celujący.

Wszechnica.

Po ukończeniu gimnazjum cieszyńskiego wyjechałem na wakacje do Karyntji, do przyjaciela z ławy szkolnej Willibalda Winklera, syna pastora w zborze Arriach. Była to pierwsza moja wycieczka w dalszy świat, bo przez cały czas mych nauk gimnazjalnych nie byłem nigdzie dalej, jak w Karwinie i Bielsku. Teraz otwierała się przedemną droga w daleki świat — Wiedeń, Alpy — jakież to wspaniałe widoki dla studenta, który do dalszego świata spojrzeć nie miał do tychczas sposobności. Puściliśmy się tedy najpierw do Wiednia, gdzie ze znajomymi spędziliśmy trzy dni, następnie jechaliśmy na Simmering, dalej na południe aż do Villach i stąd piechotą jakie trzy mile do wioski Arriach. Ks. Winkler i jego żona, ludzie wielce uprzejmi, przyjęli mnie w swym domu serdecznie. Miałem teraz dwa miesiące czasu, by spokojnie pobujać w wolności alpejskiego kraju. Arriach leży już wysoko w górach. Stąd robiliśmy wycieczki do okolicznych wyżyn, puściliśmy się na Dobracz, wznoszący się wysoko na jakie 6000 stóp. W hotelu znajdującym się na szczycie tej góry, bardzo zresztą skromnym, nocowaliśmy. Wieczorem było niebo jasne, słońce zachodziło w pełnej okazałości i ja pierwszy raz w życiu widziałem t. zw. „Alpenglühen“, czyli Alpy w płomieniach, jako odbicie zachodzącego słońca. Noc była cudowna, ale bardzo zimna. W skromnem naszym ubraniu drżeliśmy od zimna. Nazajutrz stanęliśmy znowu wcześniej, by oglądać wschód słońca. Widok przedstawił nam się nadzwyczajny. Niebo było błękitne i jasne, lecz u naszych nóg leżały mgły i gęste opary. Całe doliny były pełne mgły, która falowała jak wzburzone morze. W dole nie widzieliśmy więc ni wiosek, ni miast, ni dolin, ni wzgórz, ni pól, ni ogrodów, tylko mgłę wznoszącą się w górę lub opadającą jak wzburzone morze. A na fale mgły padały promienie wschodzącego słońca, oblewając je purpurą światła.

W miesiącu wrześniu wybraliśmy się z przyjacielem Winklerem piechotą w podróż do Tryestu. Miał tam ojciec jego dobrego przyjaciela, kupca, do którego domu zostaliśmy poleceni. Środki nasze pieniężne były bardzo skromne, szliśmy dlatego pieszo i wydawaliśmy bardzo mało na nasze utrzymanie. Zrobiliśmy przytem wycieczkę na bardzo wysoką i śpiczastą górę „Mittagskoppel“, wznoszącą się na pograniczu Karyntji i Krainy. Wspinanie się na szczyt było bardzo niebezpieczne, prawdziwy to cud, że nie zginęliśmy i zeszli na dół bez nieszczęścia. Ostatni wierzchołek był oddzielony od grzbietu góry; do podnoża jego prowadziła kamienna ściana, nie szersza niż dwa łokcie, z prawej zaś i lewej strony ziała głęboka przepaść. Czołgając się, zdołaliśmy się przedostać przez ową ścianę. Ale jakże dalej? Z pod nóg obrywały się nam kamienie, toczące się głęboko w przepaść. Wspinanie się było gorsze niż na dach, lada fałszywe postawienie nogi mogło nas zerwać w głębie, skąd byśmy żywcem nie wrócili, laska alpejska okazała się tu dobrą pomocą. Po jednogodzinnem mozolnem wspinaniu się, dotarliśmy do wierzchołka góry. Wierzchołek ten miał powierzchnię może dwa metry kwadratowe, przed nim ziała jeszcze głębsza przepaść. Wdrapawszy się na wierzchołek, musieliśmy się położyć i leżeliśmy jak porażeni. Nie mogliśmy ruszyć ni ręką, ni nogą. Widoku nie mieliśmy żadnego, poranek był pochmurny, deszcz poczynął padać, my mieliśmy tylko to zadowolenie, że spoczywaliśmy na wierzchołku skały. Po godzinie niezmiernie niebezpiecznego spuszczenia się w dół, dostaliśmy się nareszcie szczęśliwie do naszego muru, który jak poprzednio przebyliśmy czołgając się jak żaby. Gdy nareszcie stanęliśmy na bezpieczniejszem miejscu, przysiągłem w sercu, że nigdy więcej w całym swoim życiu nie będę narażał mego życia na takie niebezpieczeństwa. Maszerowaliśmy teraz, idąc dzień po dniu, aż przybyliśmy do Adelsbergu, gdzie zrobiliśmy dłuższą stację. Wielka brała nas chętna, by zwiedzić sławną jaskinię adelsberską, lecz niestety powiedziano nam, że bez przewodnika wejść do niej nie wolno, gdyż mogłoby to być połączone z niebezpieczeństwem życia. Taksy zaś od oświetlenia jaskini i od przewodnika były dla nas studentów za wysokie. Na szczęście student jakiś, któregośmy w mieście znaleźli, a który nam jako studentom podróżującym okazywał wielką życzliwość, radził nam, by czekać jeden dzień, tem więcej, że dzień następny (był niedzielą. Może zjawi się jakaś wycieczka, chcąc zwiedzić jaskinię, to się do niej możemy przyłączyć. Tak się też stało. Przed południem dano nam znać, że wycieczka jest. Jakiś bogaty amerykańczyk miał o drugiej godzinie po południu oglądać grootę. Mogliśmy się przyłączyć do towarzysza i zgoła bezpłatnie oglądać cud przy-

rody. Na minutę byliśmy na miejscu i weszliśmy do wnętrza przy dobrym oświetleniu. Do pewnego punktu prowadzą ganki dobrze usypane, w środku jest przepaść jeszcze niezbadana. Po bokach ganku stoją figury, t. zw. stalaktyty i stalagmity, tworzące najdziwniejsze postacie. Są tam kaplice, są organy i kazalnica ze skał, są postacie zwierząt, lew, wielbłąd itp., wszystkie wytworzone z biegiem czasu z ciekących skał. Dalsza część jaskini jest niestety niedostępna, bo jeszcze niezbadana. Mielśmy wrażenie, że widzieliśmy rzecz godną widzenia. Wróciwszy na światło dzienne, podziękowaliśmy towarzystwu amerykańskiemu i puściliśmy się w drogę do Tryestu.

Przybywszy do miasta i rozpatrzywszy się w niem, zwiedziliśmy najpierw przystań okrętową, by widzieć okręty przyjeżdżające, składające towary zamorskie, i znowu inne okręty, biorące towary dowieszone z lądu do portu, by je wywieźć za morze, co wszystko zajęło niezmiernie naszą uwagę. Następnie poszliśmy na miasto, by odszukać kościół ewangelicki w Tryście i mieszkanie pastora Medykusa, do którego mieliśmy list z poleceniem. Nie zastaliśmy go w domu, natomiast zawarliśmy znajomość z jego synem, uczniem 6 klasy gimnazjalnej, który ofiarował nam swoje usługi, jako przewodnik po mieście i oddał nam w istocie wielką usługę. Zaprowadził nas do domu kupca Stettnera, osobistego przyjaciela ks. Winklera. Znaleźliśmy staruszka dobrze jeszcze wyglądającego, w bardzo pospolitem ubraniu, chodzącego po magazynach i zatrudniającego mnóstwo korespondentów. Zdumielśmy się nad tem wszystkim, gdyż wyobrażaliśmy sobie, że bogaci kupcy chodzą chyba w złotogłowiach i aksomitach. Na dziś pozostawił nas staruszek opiece młodego Medykusa, na następny wezwał nas wszystkich do siebie na obiad.

Medykus okazał gotowość pojechania z nami do Miramare, ślicznego zamku w pobliżu Tryestu, zbudowanego na twardej skale morskiej. Zamek ten był siedzibą arcyksięcia Maksymiljana, brata cesarza Franciszka Józefa I. Arcyksiążę ten, spowodowany radą cesarza, swego brata, papieża Piusa IX i cesarza Francuzów Napoleona III, wybrał się do Meksyku, by tam włożyć na głowę koronę cesarza Meksyku. Niestety rządy jego nie trwały tam długo, wybuchło powstanie dążące do obwołania republiki, Maksymiljan opuszczony przez swych przyjaciół i duchowieństwo katolickie, bojące się o swój wpływ, znalazł się w położeniu bez wyjścia. Ratować mógł go może jeszcze tylko Napoleon III, który jednak w tym czasie zaprzętnięty był myślą już o wojnie z Niemcami i nie chciał w dalekim Meksyku więzić swych sił. Żona Maksymiljana wybrała się też do niego, upadła podobno przed nim na kolana, a dostawszy mimo to odmowną

odpowiedź, w tej chwili dostała pomieszaną zmysłów. Obląkana nie dowiedziała się już, że Maksymiljan pokonany, wzięty do niewoli, został postawiony przed sąd wojenny i skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano w r. 1867, zwłoki rozstrzelanego cesarza przewieziono do Wiednia, a nieszczęśliwa cesarzowa żyła obląkana aż do wojny światowej, znalazłszy przytułek w Belgji. Umarła, gdy wojska niemieckie wkroczyły do Belgji, by przez kraj belgijski przejść do Francji.

Zamek Miramare stał opuszczony, samotny, utrzymywany jednak wiernie w tym samym stanie, w jakim opuścił go Maksymiljan. W tym samym stanie pozostały tam pokoje mieszkalne, sypialnie, gdzie stały łóżka pod baldachimami, wszystko jak gdyby czekało na powrót gospodarza. Zamek, jak wspominałem, wybudowany został na skale sterczącej z morza. Na skały te nieurodzajne nawieziono z trudem wielkim ziemi, posadzono drzewa i utworzono w ten sposób prześliczny park.

Wieczorem jeszcze zażyliśmy kąpeli morskiej w ogrodzonym miejscu, gdyż jak nam mówiono, rok temu rekin potężny porwał jednego z kąpiących się jegomościów za nogę. My zaś nie mieliśmy zamiaru zawierać znajomości z rekinami. Wieczorem późnym usiedliśmy zmęczeni z naszym młodym przewodnikiem przed jakąś kawiarnią nad samym brzegiem morza, zając lody, któremi nas towarzysz nasz postanowił uraczyć. Spoglądając na nie, myślałem w duszy: oby raczej te przysmaki stały się zwykłym chlebem, byliśmy bowiem głodni jak młode wilki, a nie było sposobu kupić jakiegoś posiłku. Na lepszą zaś wieczerzę, jakie tu podawano, nie stać było nasze skromne zapasy pieniężne, do czego nam duma studencka nie pozwoliła przyznać się przed młodszym od nas studentem. Dopiero gdy Medykus nas opuścił, kupiliśmy sobie dobry bochen chleba, winogron i śliwek, i dodawszy do tego szklankę taniego stołowego wina, urządziliśmy sobie w hotelu sutą ucztę, poczem strudzeni na śmierć, zasnąwszy, spaliśmy do Bożego rana. W południe pokrzepiliśmy nasze zgłodniałe żołądki w domu kupca Stettnera. — Z Tryestu wyjechaliśmy koleją do Gorycji, a stąd znowu po twardej, dobrej drodze pędząc na przemyk Perdil, na Tarwis do Karyntji, aż do miasta Villach w całości przeszło 140 kilometrów. Tym okropnym marszem bez należytego posiłku i odpoczynku byłem wkońcu tak złamany, że ledwie na nogach zdołałem się utrzymać. Do Villach przyszliśmy bez grosza w kieszeni, ale tam Winkler miał już znajomych, u których miał kredyt, nocleg i posiłek. Następnego dnia przy ślicznej pogodzie puściliśmy się w drogę do domu, znowu zadowoleni, bo pokrzepieni i pełni wrażeń, w które ta podróż studencka obfitowała.

Kończyły się wakacje. Mój przyjaciel Winkler postanowił poświęcić się naukom przyrodniczym, ja zaś pierwotnie myślałem o studjum filologii klasycznej, do której miałem uzdolnienie i zamiłowanie. Ale im dłużej nad tem się zastanawiałem, tem więcej i wyraźniej skłaniałem się do teologii. Zdawało mi się, że mam pewien wrodzony talent wymowy, wygłaszałem bowiem w ciągu ostatnich lat kilka razy przemówienia na różnych zebraniach, które się udały i wywarły dobre wrażenie. Do tego przyczyniły się wpływy domowego pobożnego wychowania. Zaś z praktycznego punktu widzenia okazało się, że właśnie w ostatnich latach poświęcało się z okolic Śląska mało akademików studjum teologii, większość obierała zawody filozoficzne lub studjum techniki. To wszystko skłoniło mnie do wyboru studjum teologicznego. Do tego ludzi, mających dobrą znajomość języka polskiego i niemieckiego było niedużo, co również wpłynęło na wybór zawodu. Zapisałem się tedy na wydział teologiczny, zapisując się równocześnie w myśl przepisów i na wydział filozoficzny, jako słuchacz nadzwyczajny. Na wykłady filozoficzne uczęszczałem bardzo regularnie.

W pierwszym półroczu nie zdołałem ogarnąć rozmiarów nauk teologicznych, powoli dopiero później rozpatrzyłem się w nich dobrze. Teraz trzeba było brać się pilnie do języka hebrajskiego, którego dotychczas nie znałem, a to nakłada na studenta dość trudne zadanie. Daleko pilniej wziąłem się do pracy w drugim roku. Często o 5 rano byłem już na nogach, powtarzając notatki z wykładów dogmatyki, etyki, dziejów Kościoła, języka hebrajskiego i czego jeszcze było trzeba. Tak samo postępowałem w trzecim roku studjów. Nie wiem, czy kiedy chociażby jeden wykład opuściłem. Oprócz tego miałem jeszcze dwie lub trzy lekcje prywatne, które dobrze opłacano, dzięki czemu miałem na wszechnicy najspokojniejsze czasy swego życia. Pracą nie byłem zbyt obciążony, chleba miałem dosyć, głodu nie cierpiałem, profesorowie mnie lubili, koledzy żyli ze mną w przyjaźni, z przyjemnością też wspominam chwile spędzone na wszechnicy w Wiedniu i Lipsku.

Tem przykrzejsze doświadczenia zrobiłem w powołaniu praktycznem na Śląsku, nietyłe w zawodzie duchownem, ile raczej w walce, która rozpętała się między dwoma narodowymi stronnictwami na Śląsku. W jesieni roku 1875 opuścił ks. dr. Otto Cieszyn i ku wielkiemu zmartwieniu polskich zborowników, po dziewięcioletnim w Cieszynie pobycie wracał do Warszawy. Ja byłem wtenczas w Wiedniu i o tem słyszałem. Zgłosiła się spora liczba kandydatów do wyboru, ks. Badura, ks. Fr. Michejda, ks. Głajcar i kilku innych. O tych, których tu wymienilem, chodziło najwięcej. Wybór

nastąpił dnia 6 stycznia 1876 r. po ukończonem nabożeństwie w kościele. Oddano kartki wyborcze przed prezbyterstwem, lecz okazało się, że do wyboru nie odstawia się liczba potrzebna do ważności wyboru. Według ustawy należało w takim wypadku zebrać kartki wyborcze, zawinąć w paczkę, opieczętować i dobrze przechować, by nikt do nich nie mógł wglądać. W takim razie możnaby było w następną niedzielę prowadzić w dalszym ciągu wybór, aźby połowa uprawnionych do głosowania oddała swe głosy. Tak też uczyniono. O, gdyby przy tem było zostało, zbór cieszyński byłby otrzymał swego pastora, ktokolwiek nim byłby wybrany. Lecz wśród prezbyterów znalazł się ktoś wielce ciekawy, który powiedział: „Przecie należało kartki te przejrzeć i przekonać się, jak się sprawa ma, i na czyją stronę chyli się zwycięstwo.“ Czy prezbyterowie byli tak ciekawi, czy nie pomyśleli, co z tego wyniknie, — wszyscy zamilkli, kartki przeglądnięto, — a rezultat był zdumiewający. Największą liczbę miał ks. Badura, którego ks. Otto polecił przyjaciołom swoim, jako następcę swego, ale zaraz po nim uzyskał największą liczbę głosów ks. dr. Teodor Haase, pastor w Bielsku, ówczesny senjor śląski, człowiek mający już wtedy w kraju głośnie imię jako mówca, a głównie jako polityk niemiecki. Był to pastor polityk w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu. Pochodził ze Lwowa, był najstarszym synem tamtejszego pastora i superintendenta galicyjskiego, który pochodził z Saksonji, i już w późniejszych latach przybył do Lwowa. Ks. senjor Haase był znakomitym mówcą, o ile chodziło o język niemiecki, lecz fanatycznym Niemcem i wielkim nieprzyjacielem Polaków.

Otóż gdy w Cieszynie otworzono paczkę z kartkami wyborczemi, okazało się, że na ks. Haasego padło sporo głosów niemieckich. Było to nieprzewidzianą nowością, bo senjor Haase między kandydatami nie był, o wyborze jego nikt poważnie nie myślał, nikt też nie przypuszczał, by wybór przyjął i przyszedł do Cieszyna. Stronnictwo polskie stało nadal przy swym kandydacie ks. Badurze, ale stronnictwo niemieckie, t. j. stronnictwo ludzi mówiących po polsku, lecz sprzyjających Niemcom, wydało hasło: wybierać ks. dr. Haasego. Rozwinęła się zacięta agitacja i z urny wyborczej wyszedł wybrany większością głosów ks. dr. Teodor Haase, największy antagonistą ks. dr. Leopolda Otto. Ten był gorliwym Polakiem, tamten fanatycznym Niemcem, ks. Otto władał znakomicie językiem polskim, ks. Haase znakomicie językiem niemieckim, po polsku mówił i kazał, ale znać było, że sprawia mu to trudność. Otto był kaznodzieją biblijnym, prawowiernym, Haase liberałem, należącym do niemieckiego Nowoprotestantyzmu. Dla ludzi religijnie obojętnych zmiana ta nie miała znaczenia, lecz lud żyjący Ewangelią Pańską

pozostał teraz bez wodza, kościół cieszyński stał się areną walk politycznych.

Pokonane stronnictwo polskie miało jeszcze nadzieję, że dr. Haase wyboru nie przyjmie. Lecz nadzieja ta zawiodła, dr. Haase wybór przyjął, oświadczając publicznie, że ma do wykonania w Cieszynie misję, oczywiście misję złamania ruchu narodowego polskiego w Księstwie cieszyńskim i przywrócenie wszechpotęgi Niemców. Chodziło o wytepienie zasiewu, który posiał ks. Otto.

Spodziewano się jeszcze, że powstanie trudność z powodu zwyczaju, jaki panuje w naszych śląskich, polskich zborach. Tu pastory pracujący w polskich zborach, wkładają na swój czarny urzędowy strój białą komżę, podczas gdy niemieccy pastory jej nie używają. Zdawało się, że ks. Haase jako Niemiec, komży nie będzie chciał przyjąć i zachowa przez to charakter niemieckiego pastora, ale co do tego dr. Haase nie miał żadnych zastrzeżeń. Nim podpisał wokację, jeden tylko zastrzegł sobie warunek, mianowicie ten, że nie będzie musiał rzec się mandatu poselskiego do Rady państwa, ale będzie go mógł piastować, dopóki go wyborcy darzyć będą swem zaufaniem. Z tego powodu żąda, by mu zbor utrzymywał pomocnika, czyli wikarego. Zastępstwo zboru zgromadziło się na naradę i większością głosów uchwaliło, że przy zborze cieszyńskim będzie odtąd ustanowiony wikary zborowy z tem zadaniem, by zastępować senjora dr. Haasego.

W urzędzie duchownym.

Dnia 1 czerwca 1876 r. miał senjor ks. dr. Haase w Cieszynie swe wstępne kazanie, i objął urząd duchowny tego wielkiego zboru, wspólnie z ks. Żlikiem, który pracował już tu od 14 lat. Niemieckie jego kazanie było porywające, kazanie w języku polskim, którym mówi przecież większa część zboru, pozwalało się domyśleć, że mu ten język do serca nie przylgnął, że prawdopodobnie nigdy po polsku nie kazał, a od czasów gimnazjalnych może nim nawet nie mówił. Jaka różnica między klasyczną wymową ks. dr. Otto, a kazaniem ks. dr. Haasego. Odczuli to wszyscy słuchacze. Niemcy triumfowali, uzyskali bowiem wodza, za którym mogą ślepo postępować, polscy zborownicy byli przygnębieni. Po nabożeństwie ks. dr. Haase odjechał natychmiast do Wiednia, by jak oświadczył zborowi, zająć swe miejsce w izbie poselskiej. Nadeszła chwila, by poczynić kroki do powołania przyrzonego ks. Haasemu wikarego zborowego.

Wśród teologów, którzy ukończyli studjum teologiczne, byłem tylko ja, który władał dobrze językiem polskim i niemieckim. Był to właśnie okres, że młodzież gimnazjalna,

po zdaniu egzaminu dojrzałości, wybierała wszystkie inne zawody, tylko nie teologję. Później, gdy inne zawody naukowe i praktyczne były nieco zapełnione, młodzież znowu szła na teologję. Tak się złożyło, że właśnie wtenczas byłem dla Śląska cieszyńskiego jedynym kandydatem. Pod koniec lipca r. 1876 wróciłem z wszechnicy do rodziców i natychmiast wysłało presbiterstwo zboru cieszyńskiego do mnie dwóch członków, wzywając mnie, bym zamieszkał w Cieszynie i objął zaraz pewną liczbę kazań i naukę religji w ewangelickiej szkole w Cieszynie. Nie byłem zborowi obcym, bo już jako student teologii kazałem kilka razy w cieszyńskim kościele. Ale na razie wezwanie nie było mi bardzo na rękę, bo miałem się jeszcze przygotować do egzaminu „pro candidatura“, musiałem jeszcze do pewnego terminu przedłożyć piśmienne prace egzaminacyjne i nareszcie stanąć na oznaczony czas do ustnego egzaminu. Lecz cóż miałem robić? Zbór wzywał mnie, trzeba było pójść w służbę i przygotować się przy pracy w zborze do egzaminu. Zbór dał mi bezpłatny pokój i skromną płacę na wikt.

Egzamin pierwszy teologiczny zdałem w Wiedniu, w pierwszej połowie stycznia 1877 r. Po sześciu dalszych miesiącach zdałem drugi egzamin teologiczny przed superintendentem ks. Schneidrem w Bielsku. Powołaniu memu na stanowisko wikarego zborowego w Cieszynie, nie stało obecnie nic w drodze.

Gdy zbór cieszyński rozpoczął starania, by mnie legalnie powołać na stanowisko wikarego zborowego, zaszły wypadki, które stan rzeczy mogły zupełnie zmienić. W zborze w Starem Bielsku umarł nagle stary pastor ks. Gloksin, tknięty apopleksją. Nieboszyk miał tę właściwość, że o postanowienia nowej ustawy Kościoła ewangelickiego w Austrii nic się nie troszczył. Ustawa wprowadziła system presbiterjalny, oddała kierownictwo sprawami zboru w ręce presbiterstwa i zastępstwa zborowego, wybieranego przez wszystkich uprawnionych do głosowania zborowników. Ks. Gloksin nie dopuścił do tego, by w zborze wybierano presbiterów. Presbiterów wyznaczał i wybierał on sam, on też pozostawiał ich w tej godności aż do ich śmierci, a gdy który z presbiterów umarł, wtedy on wybierał według swej woli nowego, każąc mu być presbiterem. To działo się w najbliższem sąsiedztwie Bielska, siedziby superintendenta i senjora, którym był ks. dr. Haase. Gdyby się coś podobnego było działo w polskim zborze, byłyby pastora czekały śledztwa i kary. Niemieckiemu pastorowi uszło wszystko. Istniejące presbiterstwo starobielskie wezwało mnie do wygłoszenia kazania w ich kościele w czerwcu r. 1877. Kazanie musiało wywrzeć pewne wrażenie, kiedy zbór starobielski zwrócił jednomyślnie na mnie swą uwagę. Nie mogąc się

bezpośrednio do mnie udać, gdyż administratorem zboru był ks. Schur z Bielska, oddany przyjaciel ks. dr. Haasego, starobielszczanie wysłali deputację do ks. Karzła w Skoczowie, prosząc go, by on w ich imieniu dał mi znać, abym się w Cieszynie do niczego nie wiązał, chcą mię bowiem oni wybrać pastorem, skoro tylko do wyboru będą mogli przystąpić. Ale w tem był sęk, że do wyboru tak prędko przystąpić nie mogli. Ks. Schur miał polecenie przewlekania sprawy, aby z jednej strony zapewnić powołanie moje do Cieszyna, z drugiej strony przygotować w Starem Bielsku wybór ks. Lisztwanowi, szwagrowi senjora dr. Haasego. Chcąc nie chcąc, musiałem pozostać w Cieszynie jako substytut ks. dr. Haasego.

Ten jednak przeczuwał, że mój pobyt w Cieszynie może niedługo trwać, tem więcej, że w zborze bystrzyckim umarł ks. Oskar Koczy i tam również stanowisko pastora było wolne. Ks. Haase wystąpił zatem przed zastępstwem zborowem w Cieszynie z oświadczeniem, że zbor napróżno myśli o powołaniu mnie na stanowisko wikarego w Cieszynie, kiedy otwiera się przedemną możność uzyskania innego stanowiska. Jeśli mam przed sobą wybór między stanowiskiem niezależnego pastora, a zależnego wikarego, to przecież prędzej czy później wybiorę to, co dla mnie jest korzystniejszem, a Cieszyn znowu pozostanie bez wikarego. Trzeba więc zamiast posady wikarego utworzyć natychmiast stanowisko trzeciego pastora, wprowadzić z skromną płacą, lecz z tem zapewnieniem, że gdyby jeden lub drugi z obecnych pastorów umarł lub ustąpił, to trzeci pastor wejdzie w jego prawa bez dalszego wyboru. Wniosek ten wywołał w zborze ogromne wzburzenie. Zbor miał już dwóch pastorów, uważano, że trzech nie trzeba, nie chciano nakładać na zbor nowych ciężarów, gdyż nie było można zabrać dwom pierwszym pastorom ich wokacyjnie zapewnionego dochodu.

Wzburzenie w zborze było znaczne, jedni byli za wnioskiem, za trzecim pastorem, drudzy przeciw niemu. W gruncie rzeczy nie chodziło tu jednakże o osobę trzeciego pastora, ani o ciężary wkładane na zbor, bo te nie były zbyt wielkie, chodziło o to, czy ks. Haase ma panować nad zbozem, stanowić o losie zboru i przeprowadzać swą wolę, nieraz i przeciwko zborownikom. Chodziło o to, czy nad zbozem przeważnie polskim ma panować garsteczka Niemców, oraz ich poplecznicy idący ślepo za nimi, czy też polscy zborownicy mają sami o sobie stanowić.

W ciągu czternastu jednak dni, udało się ks. Haasemu zamiary swoje gładko przeprowadzić. Zwołane w tym celu zastępstwo zborowe uchwaliło na bardzo burzliwem zebraniu większością głosów co następuje:

1. Zastępstwo cofa swą uchwałę z dnia 15 lutego r.

1876, co do tworzenia stałej posady wikarego zborowego i uchwała utworzyć stałą posadę trzeciego pastora przy zborze, z prawem następstwa bez dalszego wyboru, gdyby który z dotychczasowych pastorów ze stanowiska swego ustąpił.

2. Ponieważ dochody za czynności pastorskie dwom dotychczasowym pastorom ich wokacją są zastrzeżone, nie będzie miał trzeci pastor udziału w takowych. Pobierać będzie 100 guldenów miesięcznie stałej płacy i jedną ofiarę w roku w kościele.

Na podstawie tej uchwały zjawiała się u mnie deputacja prezbiterstwa, ofiarując mi posadę bez konkursu z poleceniem mej osoby zborowi do wyboru, jako jedyne go kandydata.

Cóż teraz miałem robić? Tu podają mi coś pewnego, tam przyrzekają coś większego. Tu Cieszyn mnie potrzebuje, tam mogą znaleźć się inni kandydaci. Do tego stanowisko w Cieszynie miało pewien urok. Kościół cieszyński, to matka wszystkich zborów i kościołów śląskich, w kościele tym kazali pastorowie tacy jak: Ks. Gustaw Kłapsia, ks. Andrzej Żlik, a nadewszystko ks. dr. Leopold Otto. Powodowany temi względami, przyjąłem ofiarowaną mi posadę.

Od tej chwili zaczął się dla mnie okres męczeństwa, na które nie zasłużyłem, na które też nie byłem przygotowany, i którego też jako człowiek młody i niedoświadczony nie umiałem znosić. Przygotowałem się do służby duchownej, ale na walki świeckie przygotowany nie byłem, chciałem pracować dla Królestwa Bożego, a tu wplątano mnie we wrzawy tego świata. W latach późniejszych nieraz zazdrościłem kolegom w cichych wiejskich parafjach ich spokojniejszej pracy. Miałem i ja w Cieszynie godziny drogie, pełne uniesienia, gdy stojąc na kazalnicy mogłem tysiącom pobożnego ludu głosić Ewangelię Chrystusową, ale jakże prędko z Taboru Pańskiego trzeba było zstąpić w te przykre, namiętne kwasy codzienne. Kto inny byłby na to patrzył więcej obojętnie, ja cierpiałem i martwiłem się dużo.

Przyszło do wyboru; stanęli Niemcy, stanęli Ślązakowcy, narodowcy trzymali się zdala. Czynili to nie z powodu mej osoby, bo ja ani Polakom, ani Niemcom nic złego nie zrobiłem, nie przyszli jedynie dla opozycji do dr. Haasego. Przykro mi było doznać rozczarowania, lecz pocieszałem się myślą, że wybór może nie przyjdzie do skutku, że będę wolnym, a może potem do Starego Bielska lub do Bystrzycy będę się mógł dostać. Niestety przypuszczenie moje nie ziściło się. W trzy tygodnie później wybór ponowiono, wywarto na zborowników wielki nacisk, dzięki czemu stanęła do wyboru większość uprawnionych do głosowania i wszystkie głosy oddano na mnie. Byłem zatem wybranym trzecim pastorem cieszyńskiego zboru. Taką była wola, nie moja, bo któżem ja, ale wola Boża. Młody student, niedoświadczony

w pracy duchownej, miałem stanąć w jednym rzędzie z starszymi kolegami, by z nimi razem pracować w winnicy. Zadanie moje nie było łatwe, trudności jego dały mi się niebawem odczuć.

Wybrano mnie pastorem zboru, nie wikariuszem, w oczach starszych mych kolegów miałem jednak być tylko ich zastępcą. Stanowisko moje było więc niejasne. To też mogły się zdarzyć okoliczności jak ta, którą teraz wspomnę. Było to w późnej jesieni tegoż roku w kilka tygodni po mojej ordynacji i instalacji, w niedzielę, w którą główne nabożeństwo odprawiał ks. Żlik. Koło południa zajeżdża furmanka, wezwano mnie w dalsze okolice zboru do człowieka chorującego na tyfus płamisty. Miałem mu podać Wieczerzę świętą. Nie widząc na razie żadnej przeszkody, wyjechałem do chorego, od którego wróciłem po godz. 4 do domu. Ledwie wstąpiłem do mieszkania, gdy przyszedł sługa kościelny, oświadczając: „Ks. Senjor kazał panu pastrowi powiedzieć, by w przyszłości nie wyjeżdżał, gdy w kościele trzeba wykonać obowiązki.“ Cóż się stało? Zjawiły się w kościele chrzty, które trzeba było wykonać. Ponieważ mnie nie było na miejscu, więc musiał odprawić je sam Senjor. Było mi bardzo przykro, że takie napomnienie dano mi w ten sposób przez sługę kościelnego, wyjeżdżałem przecież nie w prywatnej sprawie, lecz z obowiązku kościelnego, wiedział też i Senjor, jak wielki mają zborownicy żal do pastora, gdy z jego winy chory bez przyjęcia Komunii św. musi umierać. Z tej przyczyny wyjechałem do chorego, tem więcej, że nie miałem właśnie w tym dniu w kościele żadnej funkcji do spełnienia. Do tego każdy człowiek zrozumie, że wyjazd do człowieka chorującego na tyfus płamisty nie należy do przyjemności. Szorstkie upomnienie przez kościelnego było nie tylko ubliżającym, lecz miało mi przypomnieć, że chociaż przyznano mi tytuł pastora, to w oczach mych starszych kolegów, a w szczególności w oczach ks. Senjora, jestem tylko jego podwładnym mu pomocnikiem. Takie doświadczenia nie mogły mi pracy w zborze uprzyjemnić. Niejednokrotnie musiałem żałować, że się z Cieszynem związałem. W ciągu następujących lat nadarzyła się nieraz sposobność ubiegania się o stanowisko pastora w innych zborach, byłbym się chętnie przeniósł z Cieszyna, by się uwolnić z mego przykrego położenia — ale niestety nie było można. W pracy duchownej, głównie kaznodziejskiej miał ks. Senjor we mnie dobrego zastępcę, zbór mych kazań chętnie słuchał, nikt Senjorowi nie robił wymówek dla tego, że się tylko rzadko na kazalnicy zjawił, zajęty politycznymi, niemiecko-narodowymi sprawami. Z drugiej zaś strony wiedział on, że będąc gdzieś na wsi na stanowisku samoistnego pastora, nie będąc popierał ślepo jego stronnictwej polityki tak, jak to robili inni

koledzy. W Cieszynie byłem potrzebnym, gdzieindziej mogłem mu być szkodliwym, starano się dlatego, bym z Cieszyna nie mógł odejść.

W tym czasie założyli pastorowie polscy dla polskiego ewangelickiego ludu pisemko tygodniowe: „Ewangelik.“ Wydawana przez Pawła Stalmacha „Gwiazdka Cieszyńska“ informowała ludność o sprawach świeckich, „Ewangelik“ miał mieć na oku głównie sprawy kościelne. Lecz oba pisma prowadzone były w duchu polskim. Ks. senior Haase niezadowolony z tego, postanowił założyć również pismo tygodniowe, lecz chociaż pisane po polsku, to jednak prowadzone w duchu niemieckim. Tak powstał „Nowy Czas“, pismo, które istniało aż do powojennych lat. Zebranie funduszów potrzebnych na wydanie takiego pisma nie przedstawiało większych trudności, złożyli je polityczni przyjaciele ks. Seniora. Gorzej było z osobą redaktora, który powinien był mieszkać w Cieszynie. Ks. Haase chciał obowiązek ten powierzyć mnie. Byłem tym zamiarem przerażony, ja przecież przeciwko własnemu narodowi nie mogłem i nie chciałem pisać. Zwyczajne artykuły i wieści miejscowe mogą być wprawdzie bezbarwne i bezstronne i w każdym piśmie można umieścić dużo rzeczy ciekawych i nawet budujących. Prasa jest czynnikiem wychowawczym i wychowawczego celu nie powinna spuścić z oka. To wszystko jest piękne i wielce zachęcające, ale naraz mogą wyłonić się sprawy natury politycznej, np. wybory do sejmu, do Rady państwa i i. Staną przeciwko sobie stronnictwa, a tu trzeba pisać na rzecz niemieckiego kandydata przeciwko polskiemu. „Tego ja, mój Panie, zrobić nie mogę.“

„Ale to nic, artykuły będą pisali inni ludzie.“

„Dobrze, ale odpowiedzialność za nie spada tylko na mnie, który przyjąłem redakcję. Tego nigdy uczynić nie mogę, nie mogę ze względu na ogół, a tem mniej mogę ze względu na mego przyjaciela ks. Franciszka Michejdę.“

„A więc pan wybierasz Franciszka Michejdę przeciwko mnie? Pozałujesz tego, bo między nami powstanie wieczna nieprzyjaźń. Ja tego nie ścierpię, by mój podwładny tak przeciwko mnie stanął.“

To były przykre, bardzo przykre doświadczenia dla człowieka, który z serca pragnie służyć sprawie Królestwa Bożego, a przez przełożonych bywa zmuszony do służenia polityce świeckiej i to w formie takiej, która sprzeciwia się z zasady jego przekonaniu i stanowisku. Z czasem znalazł się redaktor, świecki, Rusin z Galicji, katolik, Stanisławski, człowiek biegły w piórze, który przez kilka lat redagował „Nowy Czas“. Lecz później Stanisławski miasto nasze opuścił i znowu nastawano na mnie, bym pracę w piśmie przyjął. Z biegiem czasu powtórzyło się to jeszcze po raz trzeci, bez wszelkiego skutku. Stąd powstała największa

niechęć mego zwierzchnika do mojej osoby. A wpływy dra Haasego były niemałe, sięgały daleko. Dla przyjaciół swoich był bardzo życzliwym, tego jednak, kto się odważył być innego zdania, gotów był zniszczyć.

Ewangelicka literatura polska była wtenczas szczupłą. Mieliśmy Biblię, Kancjonał, Kazania ks. Dąbrowskiego, kilka książek do modlitwy i kilka roczników Zwiastuna ewangelicznego, wydawanego przez ks. pastora dr. Leopolda Otto w Warszawie, a później w Cieszynie. Szkolnictwo ludowe było względnie rozwinięte, potrzebę dobrej literatury ludowej, napisanej w ewangelickim duchu, odczuwano wszędzie — ale jej nie było. Gdy lud chce czytać, to trzeba mu podać pokarm duchowy dobrego rodzaju, bo gdy tego nie znajdzie, to będzie czytał książki treści płytkiej, często niemoralnej o zbrojcach, zbrodniarzach, powiastki o treści zatruwającej umysł młodzieży. Myśli tej dał wyraz ks. Franciszek Michejda, za którego pobudką założyliśmy Towarzystwo ewangelickiej oświaty ludowej, które później przybrało ogólniejszą nazwę „Towarzystwo ewangelickie“. Odbyło się zgromadzenie osób, wstępujących za członków do Towarzystwa, celem zgromadzenia się w towarzystwo na mocy ustawy austriackiej o stowarzyszeniach. Na zebraniu zjawił się także ks. dr. Haase. Według ustawy powinno mieć każde towarzystwo przewodniczącym głowę, czyli Wydział, który sprawami Towarzystwa kieruje. Gdy założenie Towarzystwa jednomyślnie uchwalono, przystąpiono do omawiania jego statutów, określających cel i sposób pracy towarzystwa. Wkońcu przystąpiono do sprawy wyboru wydziału. Polecono, aby do wydziału wybierano dziewięciu członków, zrobiono projekt owych dziewięciu, czterech pastorów, dwóch nauczycieli i trzech świeckich. Z pastorów polecono do wyboru ks. senjora Haasego, Heczkę, Michejdę i Pindóra. Gdy ukończono skrutynjum, okazało się że ks. Haase do wydziału nie został wybrany. Dlaczego nie został wybrany, dlaczego pozostał w mniejszości, orzec było trudno. Musiało być między zebranymi więcej takich, co nie mieli do niego zaufania, dosyć, że został w mniejszości, i zdaje się, że ktoś z świeckich przyszedł na jego miejsce. Poszczególne osoby za to odpowiadać nie mogły, bo w projekcie był wypisany. W każdym razie byłby sprawie mniej szkodził niżeli przeciwnie. Ale stało się; podobno członkowie zgromadzenia nie mieli przekonania, że będzie sprawę Towarzystwa popierał. Skutki tego pokazały się niebawem. Przewodniczącym Towarzystwa wybraliśmy pastora naszego, ks. Jerzego Heczkę z Ligotki, który po kilku latach złożył godność z powodu podeszłego wieku. Wydział Towarzystwa uchwalił przygotować i wydać Postylę domową dr. Marcina Lutra, jako pierwszą książkę, mającą być podaną ludowi w polskim przekładzie. Czterech pastorów podjęło się pracy przekładu.

Postyla wyszła w dwóch tomach, jako premia dla członków na dwa roczniki. Ks. dr. Haase, czy zrażony tem, że go do Wydziału nie powołano, czy chcąc wogóle pracę naszą utrudniać, ogłosił publicznie w „Nowym Czasie“ wystąpienie swoje z Towarz. ew. ośw. ludowej i wydanie przez siebie innej książki, podobnej treści, mianowicie Postyli Mikołaja Reja, pierwszego ewangelickiego polskiego pisarza reformacyjnego. Rozumie się, wydawnictwo to zasługuje na wielką wdzięczność ewangelickiego polskiego ludu. Nikt nie byłby o Postyli Mikołaja Reja i o jej wydaniu pomyślał i Haasemu za pracę tę możemy być wdzięczni — ale na razie zamiar jego miał służyć do sparaliżowania pracy Towarzystwa i do wzbudzenia niepotrzebnej konkurencji. Dwa naraz wystąpiły hasła: Oto Luter — Oto Rej. Polscy narodoŹwcy polecali Lutra, Niemcy i Ślązakowcy sławili Polaka Reja. Kogóż zaś miał się trzymać lud prosty, nie wiedzący, co tkwi poza hasłami politycznymi. Tak znowu między ewangelikami przyszło do rozdźwięku.

A ten rozdźwięk pojawiał się na każdym kroku. Lud polski na Śląsku miał swą Czytelnię ludową, do której uczęszczali przeważnie ewangelicy Polacy, ks. dr. Hasse założył Czytelnię ewangelicką, skupiającą w sobie lud ewangelicki mówiący po polsku, ale sercem i duszą oddany niemczyźnie. Ewangelicy Polacy i katolicy mieli swoje Towarzystwo rolnicze, w Czytelni ewangelickiej powstał także związek rolniczy. Polacy mieli swoje Towarzystwo zaliczkowe, powołane do życia w czasie, gdy jeszcze nie było ustaw przeciwko lichwie, założone w tym celu, aby ludzi pracowitych i poczciwych ratować przed wyzyskiem lichwiarzy, w niemieckiej Czytelni ewangelickiej założono t. zw. Bank ewangelicki. A więc konkurencja na każdym kroku. Odzywały się rozmaite hasła, ale w gruncie rzeczy ani o umoralnienie narodu, ani o dobrobyt ludu, tylko o polityczne współzawodnictwo chodziło. Jak trudno było w takiej atmosferze pracować, ten tylko pojmie, kto znajdował się choćby w części w podobnych warunkach.

Kompromisarze.

Stosunki pożycia Polaków z Niemcami coraz więcej zaostrzały się. Gdy ja uczęszczałem do szkół, to brano przy przyjmowaniu polskich uczniów do niemieckiego gimnazjum ewangelickiego w Cieszynie pewien wzgląd na nieznanomość języka niemieckiego jako języka wykładowego. Wiedzano z doświadczenia, że gdy polscy uczniowie pokonają trudności językowe, to staną się wzorowymi uczniami zakładu. Rzecz bardzo naturalna, bo ze wsi wstępowali do zakładu tylko najwięcej uzdolnieni chłopcy, gdy tymczasem z miasta szli do zakładu wszyscy, którzy do jakiegokolwiek zawodu chcieli

się wykształcić. Lecz roku 1871 rząd austriacki skasował ewangelickie gimnazjum w Cieszynie i złączył je z gimnazjum katolickiem w jedno państwowe niemieckie gimnazjum, powołując dla ewangelików i katolików osobnych profesorów katechetów. Odtąd grono profesorskie składało się już nie wyłącznie z ewangelików, ale przeważnie z katolików, powoływanych tu z niemieckich okolic alpejskich południowej Austrii. Tym na ewangelikach, chłopcach polskich rodziców nic nie zależało, bo też z nich nikt ani słowa po polsku nie umiał. Przyjmując uczniów do państwowego gimnazjum w Cieszynie, wymagano od nich doskonałej znajomości języka niemieckiego. Kto jej nie posiadał, ten choćby niewiedzieć jak był utalentowany, i miał we wszystkich przedmiotach najlepsze przygotowanie, cofnięty został bez miłosierdzia i musiał szukać przyjęcia w szkołach ludowych miasta, aby się najpierw w znajomości języka niemieckiego lepiej wykształcić. Dla wiejskiej młodzieży nastąpiły przez to stosunki przykre. Chłopiec wiejski przychodził do miejskich szkół, gdy liczył lat jedenaście lub dwanaście. Spędziwszy czas jakiś w szkole ludowej w mieście, liczył lat 14. W tym wieku dopiero wstępował do gimnazjum lub do szkoły realnej, podczas gdy obok niego siedzieli chłopcy liczący lat dziesięć. Studenci wiejskiego pochodzenia znajdowali się dopiero w piątej, lub szóstej klasie, gdy trzeba było stawać do poboru wojskowego. Uczniowie siódmej i ósmej klasy mieli prawo odroczyć służbę wojskową, aż do czasu egzaminu dojrzałości, lecz w piątej lub szóstej prawa tego nie posiadali. Zatem na Śląsku chłopcu wiejskiemu nie było rzeczą możliwą udać się do szkół, chociaż dotychczas tyle uzdolnionej młodzieży korzystało z nauk. Wszyscy musieli pozostać przy roli, lub iść do rzemiosła, a ludowi ewangelickiemu wkrótce musiało zabraknąć pastorów i nauczycieli, bo takich, mówiących po polsku nigdzie nie było. Niemcy zaś koniecznie domagali się, by synowie polskich rodziców wykazali się przy wstępowaniu do szkoły średniej, dokładną znajomością języka niemieckiego.

Drugą przykrością w niemieckich szkołach średnich na Śląsku była okoliczność, że polscy uczniowie nie mieli sposobności wykształcić się w literaturze własnego narodu. Niemiecką literaturę znali na wylot, swojej nie znali. Do tego przyłączała się i trzecia trudność, należąca do życia powszedniego, mianowicie ta, że we wszystkich urzędach urzędowano w niemieckim języku. Biedny polski wieśniak śląski odbierał jakieś pismo, ale nie wiedział, co ono znaczy, czego władze od niego żądają. Pozwy do sądu, sprawy podatkowe, orzeczenia sądowe, polityczne, cywilne, handlowe podawano i ogłaszano li tylko w języku niemieckim. Biedny polski wieśniak śląski, otrzymawszy takie pismo, nie wiedział nigdy, czego od niego żądają. Trzeba było szukać ludzi, którzy mu ta-

jemnicę wyjaśnili, a za wyjaśnienie trzeba było płacić. Łatwo można sobie wyobrazić, ile szkody przez to powstało dla stron. Dziwna rzecz tylko, że znajdowali się nawet księża, którzy ten przykry stan uważali za właściwy. Na pewnem zgromadzeniu ludowem wystąpić miał pewien ksiądz, pracujący do tego wśród polskiego ludu i oświadczył publicznie: „W tem przecież niema nic złego; w każdej gminie znajdzie się żyd lub nauczyciel, który takie pisma przetłumaczy na język polski.“ W rzeczywistości trudność tę lud odczuwał na każdym kroku, a można jej było przecież łatwo zaradzić.

Niespodzianie nadarzyła się sposobność zapobieżenia takiej trudności. Umarł w Bielsku superintendent mor. śląski ks. dr. Samuel Schneider. Trzeba było wybrać nowego superintendenta. Kandydatów do wyboru było kilku, lecz wobec narodowego ugrupowania zborów można się było liczyć z tem, że tylko między dwoma rozstrzygnie się sprawa, mianowicie między ks. dr. Haasem, senjorem w Cieszynie, a między dr. Trautenberggerem, senjorem w Bernie. Obydwaj byli Niemcy, obydwa dla Słowian niebardzo życzliwi. Większości głosów zapewnionej nie miał ani jeden, ani drugi, rozstrzygnąć miały głosy polskich zborów śląskich. Byli tacy, którzy radzili, by oddać głosy na Trautenberggera. Dla uniknięcia walki i niezgody stanąłem stanowczo po stronie dr. Haasego, ale radziłem, by zawarto z nim umowę, którą dr. Haase musiał się zobowiązać, że jako członek sejmu śląskiego przyczyni się swym wpływem do załagodzenia wspomnianych tu trudności. Gdy dr. Haase okazał się skłonny do porozumienia, wpłynąłem na przyjaciół, by umówili się z nim w tej sprawie.

Pewnego dnia poszedł do kancelarii dr. Haasego ks. Franciszek Michejda i tam w dłuższej poufnej rozmowie zawarli w tej sprawie ugodę. Ks. Haase obiecał starać się o to, by 1. od uczniów polskich nie wymagano zaraz przy zapisie do szkół średnich doskonałej znajomości języka niemieckiego, której chłopcy w ciągu dwu lat nauki w szkole średniej mogą nabyć; 2. by nauka języka polskiego i literatury polskiej w gimnazjum i w szkole realnej w Cieszynie, była dla uczniów narodowości polskiej przedmiotem obowiązkowym, tak, by ci w szkole średniej mieli sposobność zdobywania znajomości języka macierzyńskiego, do czego potrzeba, aby do nauki języka tego powołano osobnego nauczyciela; 3. aby pozwy do sądów i inne pisma urzędowe wydawano polskim osobom w języku polskim, by przyjmowano w sądach polskie testamenty bez załączonego tłumaczenia, itp. Były to życzenia sprawiedliwe i słuszne, i pod każdym względem nie wygórowane. Dr. Haase uznał to wszystko i wszystko też przyrzekał. Na życzenie ks. Michejdy, umowa ta miała zostać spisana i obustronnie podpisaną. Dr. Haase

ułożył ją i podpisał w dwóch egzemplarzach, razem z ks. Michejdą. Jeden egzemplarz zachował dla siebie, drugi wręczył ks. Michejdzie.

Dowiedział się o tem redaktor Stalmach i z oburzeniem wystąpił w „Gwiazdce“ nie przeciw ks. dr. Haasemu, lecz przeciw Polakom, którzy z nim zawarli taką umowę, nazywając ich kompromisarzami. Przyszło niebawem do wyboru superintendenta, ks. Haase został wybrany superintendentem, ale ani jednego przyrzeczenia nie spełnił. Wyborcy zostali przezeń najzupełniej w błąd wprowadzeni. Dlaczego ich tak oszukał, dlaczego danego i podpisanego przyrzeczenia w niczem nie dotrzymał, pozostało aż po dzisiejszy dzień tajemnicą niewyjaśnioną. Co więcej, postanowił przeciwnikom swoim skneblować usta, aby nie mogli podać do wiadomości publicznej niedotrzymanego kompromisu i nie narazili go na krytykę.

W każdym urzędzie istnieje jakiś statut dyscyplinarny, w myśl którego karze się pewne przestępstwa. W ewangelickim kościele Austrii takiego statutu dyscyplinarnego dotychczas nie było. Superintendent ks. dr. Haase ułożył na prędce taki prowizoryczny statut i przedłożył go Naczelnej Radzie kościelnej w Wiedniu do potwierdzenia. Za najmniejsze wykroczenie przeciwko subordynacji groziły teraz surowe kary. Wśród kar znajdowało się nawet złożenie z urzędu. Nikt teraz nie odważył się publicznie powiedzieć słowa, byłby bowiem bez miłosierdzia prześladowany. Tak sprawa umowy przedwyborczej usnęła, inne wypadki zajęły jej miejsce.

Gimnazjum polskie.

Ponieważ przy przyjmowaniu uczniów narodowości polskiej, do rządowego niemieckiego gimnazjum w Cieszynie nie okazywano najmniejszych względów, powstała myśl nowa, założenia prywatnego gimnazjum polskiego w Cieszynie. Pomysł wydawał się być szalonym. Skądże biedna polska ludność na Śląsku, obciążona podatkami, ma się podjąć założenia i utrzymania gimnazjum prywatnego? A jednak to wszystko zostało wykonane, prawda, że nie wyłącznie przez ludność Śląska, ale przez całą Polskę, która składała na ten cel obfite ofiary. Wpływały dary nawet z Ameryki, a sprężyną tego ruchu życiowego był przede wszystkim pastor ks. Franciszek Michejda. Superintendent dr. Haase wściekał się na tę myśl szaloną: w Cieszynie pod jego okiem gimnazjum polskie. Mnie uproszono, abym w zakładzie przyjął udzielanie nauki religii ewangelickiej. Miałem w tym względzie wielkie walki z przełożonym swoim ks. Superintendentem. Przecież nauka religii ewangelickiej musi się odbywać, mówiłem. Nie musi, nie, nie śmie być, krzyczał; kto tam ucze-

szczać będzie, wyrzekł się i zaparł się wiary ewangelickiej, i niechaj idzie natychmiast do Kościoła katolickiego. Na takie zdanie ja się nie zgadzam, anibym też ni przed światem, ni przed własnem sumieniem nie mógł go uznać. Nauka być musi, ja ją obejmuję. A jeśli przez to występuję przeciw zasadom naszego Kościoła, to niech ks. Superintendent pociągnie mnie do odpowiedzialności.

Z początkiem września 1895 miało odbyć się uroczyste otwarcie gimnazjum polskiego, tymczasem jego pierwszej klasy. Wydział Macierzy Szkolnej uchwalił urządzać nabożeństwa w kościele katolickim i w kościele ewangelickim. Ja byłem proszony, by urządzać nabożeństwo w cieszyńskim kościele ewangelickim. Ks. Superintendent zakazał użycia kościoła na takie nabożeństwo. Miejcie je sobie, gdzie chcecie, ale nie w kościele. Zawiadowcą nad własnością kościelną, jest według zasad ewangelickiego prawa kościelnego prezbiterstwo, czyli starszyzna, wybrana do tego przez uprawnionych do głosowania członków zboru. Zwołałem prezbiterstwo na zebranie, by uchwaliło, czy mogę takie nabożeństwo odprawić w kościele. Członkowie prezbiterstwa nie zeszli się w komplecie. Prywatnie byli zdania, że nabożeństwo powinno odbyć się w kościele, lecz superintendentowi nie chcieli się sprzeciwić. Zwołałem prezbiterstwo na posiedzenie z tym samym porządkiem dziennym po raz drugi. Tym razem można było powziąć uchwałę prawomocną bez względu na liczbę obecnych. Nie zjawił się nikt. Uchwały prebiterstwa nie osiągnę — muszę tedy rozstrzygnąć sam. Rozstrzygnąłem za odprawieniem nabożeństwa w kościele, bez względu na to, jakie to dla mnie wywoła następstwa. Takie zbyt ciężkie kłopoty i walki są naprawdę denerwujące. Człowiek pragnie zgody, ale nie może jej mieć. Nadszedł nareszcie uroczysty dzień otwarcia gimnazjum. Z organistą razem urządziliśmy nabożeństwo w kościele. Ja wiedząc, że z każdego słowa, które wypowiem, będę przed przełożonymi swymi musiał odpowiadać, zastanowiłem się dobrze nad tem, co powiedzieć w kazaniu. Okryłem się płaszczem patriotyizmu. Na podstawie, nie pamiętam już którego wyroku biblijnego, przedstawiłem cesarza Franciszka Józefa I, jako ojca narodów państwa, otaczającego je wszystkie równą miłością, pragnącego, by wszystkim dobrze się powodziło i aby każdy obywatel mógł kształcić się w swoim ojczystym języku. Dotychczas kształcili się wszyscy w języku niemieckim, teraz dzieciom naszym otwiera się sposobność kształcenia się w tym języku, w którym od pierwszych dni odzywały się do nich matki ich. Cieszymy się z tego i chcemy korzystać z sposobności kształcenia się, jaka nam się nadarza. Naszemi własnymi siłami nie bylibyśmy tak szybko do celu doszli, bo lud nasz polski, to lud ubogi. Nie wielu tu mądrych według ciała, nie wielu

możnych i zacnego rodu. Lecz Wasza pamięć i Wasza miłość, zacni goście, którzyście dzisiaj obecnością swoją uroczystość naszą zaszczytili, a których z całego serca na tem miejscu witam, umożliwiły nam tę trudną sprawę. Niech Wam Bóg zapłaci za dobroć Waszą. Ja Wam zaręczam, że ziarno zasiewu Waszego nie na złą padnie rolę. Wam zaś, panowie nauczyciele, poruczymy młodzież naszą. Bądźcie dla niej dobrymi pasterzami, prowadząc ją na zielone niwy nauki i wiedzy, i do wód cichych życia cnotliwego. Po modlitwie nastąpiło błogosławieństwo i jedna zwrotka hymnu państwowego. Słowa moje wypowiedziane z pewnem serdecznem uczuciem, wywarły niepospolite wrażenie. Zdołałem się wywiązać szczęśliwie z trudnego zadania. W godzinę później dowiedziałem się, że superintendent dr. Haase wyprawił czterech swych zaufanych do kościoła, aby mu donieśli, czy w czemkolwiek nie wystąpiłem przeciwko patriotyzmowi i Kościołowi.

Nauki religii ewangelickiej udzielałem w gimnazjum polskiem przez lat blisko dziewięć, poczem utworzono stanowisko stałego katechety, objęte przez ks. Jana Stonawskiego. Miłe to były i błogie chwile, które spędzić mogłem tak wśród młodzieży, jak pomiędzy nauczycielami. Zastanawiałem się nawet nad tem, czy nie lepiej byłoby opuścić służbę zborową i całkiem poświęcić się udzielaniu nauki religii w gimnazjum. Stały temu na przeszkodzie i względy na zbór cieszyński, który mej posłudze potrzebował. Możeby szczęśliwsze sprzyjały mi losy. To pewna, że gdybym był się poświęcił udzielaniu nauki religii, niejeden okropny cios byłby mnie minał, niejednej strasznej byłbym uszedł klęski. Stało się jednak; zapóźno po czasie żałować.

Język angielski.

Było to w czerwcu roku 1889. Ukończywszy jakąś literacką pracę, czułem się zmęczonym i postanowiłem nieco odpocząć. Uzyskawszy dwutygodniowy urlop, kupiłem bilet jazdy okrężnej i wyjechałem przez Wiedeń i Innsbruck do Szwajcarii. Płynąc okrętem na jeziorze zurychskim, siedziałem zadumany na pokładzie, podziwiając uroczą naturę; słońce mile świeciło, jazda była cudowna. Wtem spostrzegam, że jakiś jegomość w ciemnem ubraniu krąży wkoło mnie i patrzy na mnie, jakby chciał ze mną wszcząć rozmowę. Ponieważ w drodze nie lubię robić znajomości, więcej zajmując się podziwianiem otoczenia, więc nie przybliżyłem się do niego. Wtem on sam podszedłszy, rozpoczyna rozmowę: Czy Pan nie jest pastorem? Jestem — odpowiadam. Skądże Pan jest? — pyta się dalej. Z Austrii — mówię. Czy też tam są ewangelicy? Są, ale nie dużo — odpowiadam. Ja jestem z Niemiec, z okolicy Renu — opowiada nieznajomy — ale

obecnie pracuję w Londynie, w misji miejskiej. Czy Pan był już kiedy w Londynie? Nie byłem, nie umiem niestety mówić po angielsku. To wielka szkoda — odpowiada on — każdy pastor powinien zwiedzić Anglię, aby się przekonać, jak się w tych stronach życie chrześcijańskie rozwija i objawia. To trzeba poznać. W Londynie znajdują się także ludzie, którzy znają niemiecki język. — Na tem skończyła się rozmowa, sąsiad mój wysiadł na najbliższej stacji, oddawszy mi wprzód swój bilet. Słowa jego bardzo mnie zastanowiły, tem więcej, że już sam o tem myślałem. Tyle milionów ewangelików żyje w Anglii, w Ameryce, w Azji, w Afryce, oni wszyscy mówią angielskim językiem, jakież skarby ducha są u nich nagromadzone, o których my pojęcia nie mamy, nie znając języka angielskiego! Warto byłoby chociaż trochę poduczyć się tego języka, aby dotrzeć do ich społeczeństwa.

Gdy wróciłem z Szwajcarii, wydobyłem odrazu gramatykę angielską, którą już dawniej posiadałem, zaczynając się uczyć, choćby na próbę. Zauważyłem natychmiast, że gramatyka tego języka i jego budowa jest nad podziw prostą, trudność sprawia głównie wymawianie wyrazów. A trudność ta jest wielka. Nabyłem sobie potrzebnych książek, gramatyki, słowniki, wskazówki co do wymawiania pewnych wyrazów i bliższych opisów, które podają, kiedy pewna samogłoska wymawia się jako a, kiedy jako e, kiedy jako o, kiedy jako i, kiedy jako krótkie e itd. Jak się wymawia th twarde, jak th miękkie itp. Potem zacząłem się uczyć dziennie po 4—5 godzin z piórem w ręku, głośno, aby choć nieco nagiąć języka. Na szczęście w jesieni przybył do Cieszyna pewien rabin amerykański, dr. Sonnenschein, który w wielu względach był mi pomocą. Tak się wgryzłem w tę naukę, każde słowo pisząc i wymawiając, jakbym był oszalał. Niektóre słowa powtarzałem po 300 i 400 razy, głośno, abym nakłonił język do tych niezwykłych dla naszego ucha i języka dźwięków. Pewnego razu przyszła do nas z sąsiedniego domu dziewczynka czteroletnia i słysząc, że w przyległym pokoju odzywają się jakieś dziwne dźwięki, pyta się naiwnie: Czy tam jest kaczka. To byłem ja, ucząc się i powtarzając trudniejsze wyrazy po 100—200 razy głośno. Uczyłem się z piórem w ręku, bym wyrazy zachował w pamięci i nauczył się je jednocześnie i pisać. Po dwu latach wiernej, nieustrudzonej pracy doszedłem do tego, że umiałem czytać i pisać, lecz nie wiedziałem, czy też zrozumieć, gdy inni mówić będą, szczególnie, czy zrozumieć rodzonych Anglików. Napisałem długi artykuł w angielskim języku, zawierający opis stanu ewangelickiego Kościoła w Austrii, w szczególności na Śląsku i przesłałem go do Londynu, do redakcji religijnej gazety „The Christian“. Jakąż była moja radość, gdy mi redakcja przysłała numer gazety, zawierający mój artykuł, zaopatrzony

moim podpisem. Zgoła nic w nim nie zmieniono. W kilka dni później otrzymałem list angielski od pewnego pastora w Hamburgu. Prosił mnie, bym go odwiedził w Hamburgu. W kilka tygodni, otrzymawszy urlop, puściłem się w drogę do Hamburga, a stąd do Londynu. Pastor Kilburn, który zaprosił mnie do siebie, był rodem z Anglii, żonę miał Niemkę, pochodzącą z Petersburga (dziś Leningrad), która jednak lepiej mówiła po angielsku niż po niemiecku. Bardzo to była zacna i pobożna rodzina. Przyjaźń nasza przetrwała długie lata. Kilbrun zaopatrzył mnie w różne polecenia do Londynu i uzyskał to, że mnie Allians Ewangelicki wpisał na listę swych mówców na walne zebranie, które miało się odbyć w Londynie, w dniu 16 maja 1892 r.

Przybywszy do Londynu, stanąłem w domu niemieckiego Związku młodych mężczyzn. Gdym usiadł w pokoju, przyszła do mnie dziewczyna i odzywa się do mnie w angielskim języku. Ja słucham, lecz ani jednego słowa nie rozumiem. Ona powtarza swe słowa, lecz ja mimo wszystko nie rozumiem. Na szczęście ona mnie rozumiała. Teraz dopiero zauważyłem, że język mój wyuczył się słów angielskich, ale ucho do tego języka nie było przyzwyczajone. Podałem jej papier i ołówek, prosząc jej, by mi napisała to, co mówiła. Gdym to na papierze ujrzał, zrozumiałem wnet, o co chodzi: chciała zmienić firanki w oknie. — Nie mogłem jednak mieszkać wśród Niemców, bo język ich był mi znany, a ja chciałem dojść do biegłości w angielskim języku. Stałem więc w angielskim domu, gdzie oprócz angielskiego słowa żadnego innego nie słyszałem. Ucho moje jednak szybko przyzwyczało się do dziwnych dźwięków tego języka. W domu tym nikt nie rozumiał języka niemieckiego. Tu przebywałem do 17 maja i ćwiczyłem się pilnie w używaniu języka angielskiego. Wypracowałem troskliwie przemówienie, które chciałem wygłosić na walnem zebraniu Alliansu, i wyuczyłem się go na pamięć. Wypracowawszy je, deklamowałem je z zegarkiem w rękę, bo każdemu mówcy wolno było tylko przez 20 minut przemawiać. Coś chciał powiedzieć, musiałeś powiedzieć w tym krótkim czasie. Na rozwlekłe mowy nie chciano tam pozwolić. Ja chciałem im podać obraz położenia Kościoła ewangelickiego w Austrii, ał w szczególności obraz życia ewangelików polskich na Śląsku, co mi się w znakomity sposób udało. Zebranie słuchało mych słów z natężoną uwagą, bo rzeczy te były tu zupełnie nieznanne. Wnet po przemówieniu wzięto mi rękopis mego referatu, by go wydrukować w angielskich pismach, zawieziono mnie do fotografa, dowiadawano się o szczegółach mego życia i w końcu wielka angielska religijna gazeta „The Christian“, podała swym czytelnikom mój obraz i opis życia i pracy duchownej. Stałem się naraz osobistością znaną dobrze w angielskich kołach

religijnych. Dnia 18 maja wracałem do Hamburga, gdzie mnie już wyglądano. Następnego roku miała się odbyć w północnej Ameryce, w mieście Chicago, wielka wystawa światowa, dla uczczenia 400-letniej rocznicy odkrycia Ameryki przez Kolumba. Koła religijne pod przewodnictwem znakomitego ewangelisty D. L. Moodyego, przygotowały wielką kampanję religijną w różnych językach europejskich. Powiedziano sobie: Nie dosyć na tem, że ludzie napasą tu swe oczy, trzeba im dać także sposobność do słuchania Słowa Bożego w ich własnym języku. W trzy miesiące po powrocie moim z Londynu, otrzymałem z Chicago wezwanie, by w lecie r. 1893 przybyć do Ameryki, celem głoszenia Ewangelji w języku polskim, a może i w niemieckim. Koszta podróży i utrzymania, zapewniły mi amerykańskie koła kościelne. Gdy ze strony władz Kościoła ewangelickiego w Austrii otrzymałem czteromiesięczny urlop, puściłem się w kwietniu 1893 r. przez Londyn do Ameryki, dokąd przybyłem dnia 8 maja. Podróż tę, pracę i doświadczenia me, zrobione za oceanem, opisałem w osobnej książeczce p. t. „Wspomnienia z podróży do Anglii i Ameryki“. Tu tylko nadmieniam, że podróż ta i codzienna styczność z kwiatem amerykańskiego społeczeństwa, była dla mnie szczytem mego życia i będą najcenniejszym wspomnieniem mem aż do śmierci. Nie myślałem wtenczas, że po takich przeżyciach, przyjdzie taki upadek, jaki spotkał mnie w roku 1915. Pan wywyższa, Pan poniża, tak się zawsze do nas zbliża.

Prace literackie.

Domowa Postyla Lutra, w której opracowaniu miałem i ja udział, wyszła drukiem w dwóch tomach i rozeszła się w dość znacznej liczbie egzemplarzy. Byłaby się więcej rozpowszechniła, gdyby w tym samym czasie nie była wyszła Postyla Mikołaja Reja.

Według statutów Ewang. Towarzystwa oświaty ludowej należało każdego roku dać członkom jakąś nową książkę. Z tej przyczyny zabrałem się następnego roku, w porozumieniu z innymi członkami Wydziału Towarzystwa, do opracowania dwóch mniejszych książek, które miały służyć za premję na tenże rok, a mianowicie „Krótka historia Kościoła chrześcijańskiego“ i „Tarcza wiary ewangelickiej“. — Z czasów studenckich utkwiała mi w żywej pamięci praca uczonego teologa i kaznodziei francuskiego Merle d'Aubigne, p. t. „Dzieje reformacji XVI wieku“, wydana w 5 tomach, przedstawiająca przebieg reformacji w Niemczech, Francji i Anglii. To dzieło opracowałem w ciągu czterech lat, tłumacząc je z języka niemieckiego na polski. Cztery jego tomy stanowiły premję dla członków Towarzystwa na cztery lata.

Następnie wziąłem się do opracowania dla użytku czytelników ewangelickich, słynnego dzieła: „De imitatione Christi“, „O naśladowaniu Chrystusa“, napisanego przez Tomasza a Kempis. Dzieło to wyszło już w drugim wydaniu. — Powróciwszy z Anglii (1892) opracowałem i przetłumaczyłem na język polski Ryszarda Baxtera: „O wiecznem odpocznieniu zbawionych.“ Koszta druku tego dzieła zapłacił w połowie Wydział wielkiego Brytyjskiego Towarzystwa traktatowego w Londynie. Później opracowałem jeszcze drugie dzieło tego samego autora, mianowicie: „O nawróceniu duszy do Boga.“ — Śliczną pracą była książka: „Kazania o Ziemi świętej.“ Pastor z Brooklynu De Witt Talmage, znakomity kaznodzieja i literat, odbył podróż do Ziemi świętej i przedstawił ją w kazaniach o bardzo zajmującej treści. Jest to może najwięcej zajmujący opis tej pięknej krainy. — Następowало: „Na drogach życia“, obrazy z Biblii, zastosowane do potrzeb życia. — Oprócz tego wydałem mniejsze dziełka: „Labirynt świata Jana Komenský'ego“, „Studzienkę“, „Rajski ogródek“, „Niebieską ojczyznę“ itp. Pewne Towarzystwo dało mi do opracowania 80 numerów ilustrowanego pisemka dla dzieci p. t. „Wesołe poselstwo dla dzieci“. Pisemka te wydrukowało ono w 80.000 egzemplarzy i przysłało mi w ogromnej skrzyni do bezpłatnego rozdania między polską diatwę. Można sobie wyobrazić, jaką to wywołało radość między dziećmi. O własnych siłach nigdybyśmy czegoś podobnego zrobić nie zdołali. Oprócz tego wydałem jakich 30 roczników Kalendarza ewangelickiego. Poza tem wydałem wiele innych mniejszych i większych broszur, opracowanych przezemnie. Wdowa p. ś. p. Karolu Spurgeonie, słynnym mówcy religijnym w Londynie, pozwoliła mi przetłumaczyć na język polski kilka kazań nieboszczyka. Koszta tego wydawnictwa pokryła sama. W rękopisach leży dziś jeszcze sporo materiału przygotowanego, którego dotąd dla braku papieru i funduszków drukować nie można. Da Bóg, że przyjdzie chwila, że choć urywki tego materiału ujrzą światło dzienne.

Z druków wymienionych wielka część wywieziona została do Ameryki. Było to w r. 1903, albo 1904. Prezydent Stanów Zjednoczonych Mc. Kinley odbywał podróż po miastach kraju i w Cleveland został przez jakiegoś szaleńca, Czołgosza (Polaka) zastrzelony. Ogromne z tej przyczyny powstało rozgoryczenie przeciwko wszystkim emigrantom. Lecz cóż z nimi robić? Wypędzić z kraju nie było ich można, trzeba ich zatem było oświecać, trzeba ich serca prowadzić do Chrystusa i Jego Ewangelji. Nadeszło do mnie z Amerykańskiego Towarzystwa traktatowego pismo z prośbą, byśmy wszystkie druki polskie treści religijnej odstąpili temuż Towarzystwu za zniżoną cenę. Tak poszło za ocean

kilkanaście skrzyń pełnych naszych książek. Należytość żądaną przez nas przesłano nam natychmiast. Któż wtedy pomyślał, że nadejdą czasy, w których książki te nam samym byłyby się przydały. Daj Boże, byśmy mogli się doczekać lepszych czasów.

Budowa wielkiego szpitala w Cieszynie.

Gdzie jest dużo światła, tam nie brak i cienia, powiada przysłowie. Możnaby tę myśl i odwrócić i powiedzieć: Gdzie znajduje się cień, tam musi być i światło. Bez światła bowiem cienia być nie może. Cieniem chyba było, że ks. sup. dr. Haase żywił do Polaków niechęć i uprzedzenie, nad czym my wszyscy bardzo ubolewaliśmy. Lecz jest też prawda, że ten niezwykle mąż zrobił tak dla jednostek, jak i dla ogółu dużo dobrego, czem zasłużył sobie na wdzięczność wszystkich. Niepospolite jego zdolności wydały niezwykle owoce.

Pewne doświadczenia wzbudziły w nim myśl, że dla ewangelików Śląska Cieszyńskiego trzeba koniecznie założyć szpital ewangelicki, wyznaniowy, gdyż wszystkie szpitale cieszyńskie prowadzone były przez katolickie zakony. Myśl prosta i jasna, lecz wykonanie nie było łatwe. Skąd zebrać fundusze na jej wykonanie? Dr. Haase nie wątpił, był tego pewnym, że fundusze się znajdą.

Zaczął zbierać składki wśród obywateli zboru cieszyńskiego. Wszyscy składali, co kto mógł, lecz zebrana suma nie wystarczyła ani na rozpoczęcie budowy. Dr. Haase zasiadając od lat w parlamencie wiedeńskim, posiadał szerokie znajomości. Był osobistością okazałą, umiał się zręcznie wszędzie obracać i można było przypuszczać, że w gronie politycznych przyjaciół uzyska poparcie dla swych zamierzeń. Wezwał do Wiednia ks. Arnolda Żlika, by z nim razem odwiedzać domy bogatych kupców, przeważnie żydowskich. Wtenczas właśnie dużo zajmowano się ożywionym prądem antysemitycznym. Młodzież niemiecką, a za nią całe niemieckie społeczeństwo zaczęło atakować panowanie żydowskiego kapitalizmu. Walka toczyła się na zgromadzeniach i w prasie. Żydzi tego ataku nie spodziewali się, bo przecież zawsze i wszędzie stali po stronie niemieckiej. Ks. superintendent Haase postawił się otwarcie przeciw temu wrzeniu, częścią z przekonania, częścią z obliczenia i odrazu stał się wielkim ulubieńcem żydowskich sfer. Stąd też płynęły dary tysiącami i krociami tysięcy. Teraz o to chodziło, by te dary choć nieco przeplatać darami od chrześcijan, aby nie powiedziano, że dr. Haase zbudował szpital za żydowskie pieniądze. Wszystko szło dobrze, lecz jak to często przy takich okolicznościach bywa, preliminarz przekroczono w nieprzewidziany

sposób. Ks. dr. Haase był niewyczerpanym w wyszukiwaniu coraz nowych źródeł pieniężnych nawet zagranicą. My pastorowie cieszyńscy towarzyszyliśmy mu w podróżach po Wiedniu, Berlinie, Frankfurcie i gdzie się dało. Troskę o wyszukanie nowych dobroczyńców wziął na siebie dr. Haase, my byliśmy tylko figurantami, tworzyliśmy deputację. Nieraz mieliśmy poważne wątpliwości, czy uda mu się wyszukać nowe źródła dochodów. Lecz chociaż chwilowo piętrzyły się trudności, dr. Haase zawsze znalazł nowe drogi. Imię jego działało jak różdżka czarodziejska w kołach Izraela. Naród ten okazał się mu wdzięcznym.

Tak powstał szpital cieszyński, jako wzór nowoczesnego szpitala, zasługą Haasego, któremu słusznie kraj postawił u wejścia do niego pomnik ze spiżu, stworzony ręką śląskiego artysty rzeźbiarza, prof. Jana Raszki. Dowcipkowano, że nie chrześcijanie, ale żydzi szpital ten ufundowali, ale główna rzecz, że szpital tak potrzebny powstał. Wnet od początku odznaczał się tem, że miał doskonałe urządzenia lecznicze, miał znakomitych lekarzy i znany był z sumiennej opieki, wykonywanej przez ewangelickie diakonise, o których wykształcenie dr. Haase się starał.

Szpital został stworzony jako własność ewangelickiego zboru w Cieszynie, który z początku zawiadował nim przez osobny komitet gospodarczy. I byłby tak mógł istnieć, gdyby szpital był zakładem małym, wyznaniowym, ograniczonym tylko do ewangelickiej ludności. Zbudowany jednak ofiarami tak różnego pochodzenia, musiał zakład wziąć na siebie obowiązek przyjmowania wszystkich chorych, bez względu na ich wyznanie i narodowość. Lecz tu się okazało, że utrzymanie i prowadzenie szpitala na tak wielką skalę jest dla zboru rzeczą zbyt kosztowną. Zbór cieszyński zostałby gospodarczo zachwiany, albo musiałby szpital ograniczyć, jeśli nawet nie zamknąć, bo dochody uzyskane w szpitalu pokrywały ledwie trzecią część jego wydatków. Zborowi groziła niechybna zguba. Wkońcu pozostało jeszcze to wyjście, by zakład zabudowany tyloma ofiarami oddać w zarząd i na własność kraju Śląska, przez co byt szpitala byłby zapewniony, ale utracone byłyby charakter i własność ewangelicka. Dr. Haase widząc to niebezpieczeństwo, zdecydował się oddać szpital na własność krajowi i dopiął tego celu, z czego był wielce zadowolony, podczas gdy ludność ewangelicka z bolem serca przyjęła wiadomość o utraceniu tego pięknego zakładu. Byt tego wspaniałego zakładu był teraz zapewniony, charakter jego wyznaniowy pewnie na zawsze stracony. Ci, którzy nań składali ciężko zapracowany grosz, mieli zeń nie więcej, jak ci, co koło niego palcem nie ruszyli. Na razie z jego charakteru ewangelickiego tyle pozostało, że pozostawiono w nim ewangelickie pielęgniarki.

Obecnie zakład znajduje się po polskiej stronie Śląska, diakonise pochodzą już po części z polskiego zakładu w Dziegielowie, zbór cieszyński w zarządzie jego nie ma głosu.

Losy rodziny.

Bawiąc w Londynie w r. 1892, otrzymałem wezwanie do domu pewnego kupca na herbatę. Był to Niemiec, przebywający w Anglii, mogłem więc dobrze z nim się porozumieć, bo w angielskim języku, jak to łatwo odgadnąć można, nie miałem jeszcze należytej biegłości. Miałem sposobność poznać jego rodzinę, żonę i dzieci, bardzo ładne i bardzo jeszcze młode. Wogóle zrobiłem spostrzeżenie, że dzieci angielskie, nawet uboższych rodziców, bardzo ładnie wyglądają. Te blondynki z rozpuszczonym włosiem, o licach rumianych i wdzięcznym spojrzeniu, te chłopaki żywe w marynarskich strojach z pewną siebie miną tak wyglądają, że się im dosyć napatrzeć nie można. Ruch w świeżym powietrzu dodaje im wdzięku. A tego powietrza w ogromnym Londynie nigdzie nie brakuje. Z wyjątkiem centrum miasta, t. zw. City, cały Londyn jest jakby rozległą wsią. Każda rodzina ma osobny domek, czy to własny, czy wydzierżawiony, za domem ogród otoczony murem, w którym bawią się dzieci na świeżym powietrzu. Rozmawiając z właścicielem domu, zadałem mu pytanie: — Niech mi Pan powie, w czym leży tajemnica angielskiego narodu, że tak wszystko w około dobrze wygląda? Wszędzie przecież widać tylko dobrobyt i porządek. Uśmiechnął się gospodarz na me zapytanie i rzekł bez namysłu: — Na to składają się dwie rzeczy: Pierwszą jest nasza angielska niedziela, drugą nasze życie rodzinne. Byłem tem zdziwiony, lecz gdym się bliżej nad jego odpowiedzią zastanowił, musiałem przyznać mu słuszość. Prawdziwe święcenie niedzieli i czystość rodzinnego życia, tworzą dwa czynniki, które podnieść mogą każdy naród.

Święcenie niedzieli w Anglii jest rzeczą jedyną w swoim rodzaju: to trzeba widzieć, bo opisać to trudno. Sklepy zamknięte, biura zamknięte, gospody zamknięte — kościoły otwarte. Na ulicach stoją gromadki ludzi, śpiewając pieśni religijne, to członkowie Armji zbawienia. Pewnego dnia idąc po moście nad Tamizą, chciałem dostać się z jednej strony na drugą. Potrzebowałem pół godziny czasu, nim się przedostałem. Taki ruch pieszych i pojazdów, taki ścisk i natłok, jak gdyby roło się tam mrowie rozdrażnione. W niedzielę rano byłem na tem samem miejscu i nie spotkałem tam żywej duszy. Tak cicho i głucho tam było, jak by miotłą wymiotł. Rzecz to naturalna, jak mi mój gospodarz powiedział: — Gdy w dzień wychodzę z domu za interesami, dzieci moje śpią; jeszcze nie powstały. Gdy wieczorem wracam z handlu

do domu, one znów już śpią. Chcę więc choć w niedzielę mieć dzieci koło siebie.

Wracając do życia rodzinnego, muszę wyznać, że wielkie to błogosławieństwo od Boga, gdy u boku męża znajdzie się towarzyszką życia dobra, mądra i zacna. Ja osobiście doznałem tego błogosławieństwa od Boga. Mieliliśmy dwoje dzieci, córkę Elinkę i syna Karola. Niezawsze u nas była jednomyślność, już choćby z tego powodu, że ja z polskiej, żona zaś z niemieckiej pochodziła rodziny. A co jeszcze większy miało wpływ, to ta okoliczność, że całe jej pokrewieństwo, wszystko otoczenie było niemieckie. Dla miłej zgody trzeba było nieraz być ustąpliwym; ale to muszę powiedzieć, że żona moja nigdy nie wymagała odemnie niczego niesprawiedliwego lub niesłusznego. Urodziła się w Galicji, w Wieliczce, gdzie jej ojciec był urzędnikiem przy tamtejszych salinach, uczęszczała do szkoły w Bochni, dokąd jej ojciec został przeniesiony. Między Polakami miała rówieśniczki i przyjaciółki, którym zawsze dochowywała przyjaźni. Chociaż z urodzenia była Niemką, to jednak dla Polaków miała szczerę poważanie i zrozumienie. Gdy w życiu naszym, jak to wszędzie bywa, zaszło jakie nieporozumienie, to zawsze pamiętaliśmy na słowa apostoła Pawła: — Gniewajcie się, ale nie grzeszcie, słońce niech nie zachodzi na rozgniewanie wasze. Chętnie poświadczam, że mi żona moja dobrą i szlachetną była towarzyszką. — Dzieci nasze były bardzo dobre. Elinka odznaczała się wrodzonym dowcipem, śpiewała pięknie, pracowała pilnie, skromnie i uprzejmie się prowadziła, matka na nią wywierała wpływ dobry. Między matką i córką było serce jedno i dusza jedna. — Karol od dzieciństwa z przyjaciółmi spokojnie się bawił, a wstąpiwszy do szkoły, okazywał wielkie zdolności i ochotę do nauki. Tak nam upływały dni życia spokojnie, za co Panu Bogu szczerze dziękujemy. Nie przeczuwaliśmy, że niebo zachmurzyć się może i w nasze spokojne życie uderzać będzie grom z gromem.

Roku 1894 panowała okropnie mroźna zima. Wśród najtęższych mrozów wyjeżdżałem dzień w dzień na pogrzeby, w obręb rozległego zboru cieszyńskiego. Jak wiadomo, odprawiało się u nas dawniej te uroczystości pogrzebowe pod szczerem niebem, co w zimie przedstawia dla uczestników poważne niebezpieczeństwo. Pewnego razu, mając podczas kazania w czasie tych mrozów odkrytą głowę, — musiałem mieć włosy bardzo krótko obcięte, — uczułem na skroni jakgdyby mocne ściśnięcie. Objawy te powtarzały się częściej, ja niestety nie wiedziałem, że są to oznaki bolesnej choroby. Głowa mnie bolała, sen się stracił, byłem tak osłabiony, że z rozpaczą prawie wstępowałem na kazalnicę. Lecz zwyczajnie wracałem zdrowszy, niż gdy tam szedłem. Lekarze oświadczyli,

że cierpię na nerwy i polecili mi, bym leczył się zimną wodą. Gdy jednak w myśl kuracji Kneippa zaczęto oblewać mnie zimną wodą, myślałem, że będę musiał oszaleć. Cierpienie moje, zamiast się zmniejszyć, wzmoгло się. Zrozpaczony zrobiłem teraz próbę z ciepłą wodą i ta działała lepiej. Wkońcu kąpiele siarczane, poty, nareszcie też ukłucia pszczoł, jakie mi również domorośli lekarze zalecali, pomogły mi powoli i stopniowo ból przezwyciężyć. Nie odzyskałem wprawdzie dawnego zdrowego snu, lecz mogłem przynajmniej obowiązki związane z mem powołaniem spełniać. — Gdym ja nieco odżył, przyszła choroba naszego syna Karola. Lekarze stwierdzili u niego katar żołądka, zapisywali lekarstwa, zarządzali dietę, ale to wszystko nic nie pomagało, chłopiec schnął, tracił siły i chwilami ledwie na nogach się trzymał. Baliśmy się gruźlicy, lecz lekarze uspokajali nas, zapewniając, że płuca są zdrowe. Wkońcu, gdy siły chorego coraz bardziej malały i trzeba było obawiać się niebezpieczeństwa, postanowiliśmy wyprawić go na południe. I tam stan zdrowia nie poprawił się natychmiast, chwilowo nawet stan ten tak się pogorszył, że żona moja, która z synem tam się wybrała, chciała wracać, bojąc się katastrofy. Ale słońce południowe, woda morska, odpoczynek, zrobiły swoje. Gdy z początkiem maja syn wrócił do domu, byliśmy zdziwieni. Wyjeżdżając, był tylko cieniem, teraz wyglądał świetnie, był wytuczony, nie do poznania. Lecz pozory w takich sprawach często mylą. Przekonaliśmy się o tem u naszego Karola, który przez całe lato musiał jeszcze leżeć, odpoczywać, żywić się według przepisów lekarza, by w jesieni móc iść do szkoły. Mieliśmy jednak z szkołą wielkie kłopoty. Syn był uczniem zdolnym i pilnym, do gimnazjum jednak, zrażony tyrańskim zachowaniem się niektórych nauczycieli, za nic w świecie nie chciał chodzić. Marzył o morzu i marynarce. Lecz do szkoły marynarskiej w Fiume, do której się zgłosił, nie został przyjęty, bo dla pierwszego rocznika był za stary, w trzecim roczniku, do którego wiekiem i wykształceniem powinien był i mógł wstąpić, nie było miejsca, bo do szkoły tej przyjmowano tylko ograniczoną liczbę uczniów.

Wtenczas rząd przystąpił do założenia w Wiedniu t. zw. akademji eksportowej, mającej na celu wykształcenie sił pomocniczych dla konsulatów austriackich rozsianych po całym świecie. Za wstawieniem się ks. sup. dr. Haasego syn mój został przyjęty na kurs przygotowawczy, ukończył po kilku latach akademję z stopniem celującym i poszedł do Pekinu w Chinach, gdzie był urzędnikiem austriackiego konsulatu. Później był konsulem austriackim w Charbinie. Włada językiem polskim, niemieckim, angielskim, francuskim, rosyjskim a nawet doskonale językiem chińskim. Porozumiewać może się i językiem włoskim i hiszpańskim. Po przewrocie przy-

jął go Rząd Rzeczypospolitej Polskiej do swej służby i wysłał go najpierw do St. Francisko, następnie do Shang-haju, wkońcu znowu do Charbina.

Żona wróciwszy z synem z południa, za pierwszym spojrzeniem zauważyła, że córka nasza Elly wygląda niedobrze. Pierwsze powitanie z matką i bratem rozweseliło i ożywiło ją, tak, że na chwilę odzyskała dawną wesołość. A wesołą mogła być, gdy przecież życie zdawało się wieść ją w piękną przyszłość. Była narzeczoną lekarza, który właśnie wtedy kończył swe studia lekarskie.

W kilka dni po jej zaręczynach żona spostrzegła, że córka ma gorączkę i nie pozwoliła jej opuścić łóżka. Wezwany lekarz nie mógł stwierdzić przyczyny gorączki, przypuszczał chwilowo, że to tyfus, ale przypuszczenia te okazały się nieuzasadnionemi. Przez całych pięć miesięcy trwała gorączka, raz mniejsza, drugi raz wyższa, przyczyny jej jednak stwierdzić się nie dało. Przez cały ten czas żona nie odstąpiła jej łóża. Chciałem powołać diakoniszę pielęgniarkę, lecz żona nie chciała na to się zgodzić, oświadczając, że i tak nie zasnąłaby, a nie miałyby ani jednej spokojnej chwili. Że żona mogła znieść takie naprężenie nerwów i taki wysiłek fizyczny, to dla mnie pozostało niewytłumaczoną zagadką. Tymczasem termometr nie spadał nigdy poniżej 38 stopni, a często dochodził do 40. Gdy jeszcze przyłączyły się nieustanne wymioty, córka zdawała się być skazaną na śmierć. Po trzech miesiącach choroby lekarze radzili zmianę powietrza. Przenieśliśmy chorą do Wisły, najawszty dla niej pokoik w tamtejszym hotelu. Zmiana powietrza, piękna okolica w istocie cudów u chorej dokonały. Stała się wesołą, rozmowną, nabrała ochoty do życia — myśleliśmy, że teraz nadchodzi poprawa. Niestety, niedługo trwała ta zmiana. Po kilku dniach wróciły dawne boleści, temperatura znowu się podniosła, wymioty i osłabienie znowu się pokazały. Kupiliśmy wtenczas dla chorej niewielki kawałek ziemi w Wiśle, zbudowali skromny domek drewniany — lecz chora do niego nie wstąpiła. Właśnie gdy chata była gotową, chora dogorywała. Ze wsi wzięliśmy chorą do szpitala, gdzie po ciężkich cierpieniach zgasła. W ostatnią noc około trzeciej nad ranem czując zdaje się dreszcze ostatniej godziny, zerwała się nagle, przytuliła się do czuwającej zawsze przy niej matki, serdecznie ją ucałowała, poczem złożywszy ręce jakby do modlitwy, westchnęła cicho — i zasnęła na zawsze.

Śmierć naszej córki jedynej i kochanej był dla nas ciosem ciężkim. Lecz to nie był koniec cierpień i przykrości. Koledzy moi w urzędzie, wiekiem odemnie znacznie starsi, jeden za drugim zachorowali a cały ciężar służby duchownej zawisnął na moich barkach. W tem stała się rzecz rzadka, ale i prze-

rażająca. W dniu 17 maja 1906 r. byłem wezwany do Konia-kowa, przy Cz. Cieszynie, na pogrzeb pocziwego staruszką, który w ostatnich latach życia razem z swą rodziną przechodził mnóstwo trosk. Gdym się zbliżał do domu żałoby, zbliżały się od południa czarne chmury, powietrze było duszne, widocznie zbliżała się ciężka burza.

Cmentarz leży w tej gminie na wzgórzu, u wejścia do niego stoi mała kapliczka, tworząc bramę wchodową. W tej kapliczce szukaliśmy schronienia przed ulewnym deszczem. Kapliczka była po brzegi wypełniona, drzwi jej zamknięte. Po odprawionem nabożeństwie pogrzebowem chciałem wyjść z kapliczki, zakończyć pogrzeb złożeniem zwłok do grobu, bo trzeba mi było wracać do Cieszyna z powodu natuki konfirmacyjnej. Niewiasty jednak, biorące udział w pogrzebie drżały ze strachu przed ciągłymi błyskawicami i huczącym grzmotem i poczęły prosić, by jeszcze na chwilę pozostać w kapliczce. Spodziewały się, że burza nie potrwa długo. Widząc ich twogę i przerażenie, cofnęliśmy się znowu do kaplicy. Wtem stało się coś, czego już opisać nie zdołam, pamiętam bowiem tylko, że zachwiałem się i straciłem przytomność. W tym stanie, jak wskazywał zegarek, przetrwałem całą godzinę. Przebudzenie się następowało bardzo powoli, miałem wrażenie, jak gdyby była mnie przygniotła jakaś góra. Słyszałem jakieś jęki i narzekania, ale nie wiedziałem, czy to sen, czy rzeczywistość. Próbuję wołać, lecz nie mogę głosu z siebie wydać, chcę wargi otworzyć, — nie mogę, oczy otworzyć, — powieki jakby martwe. Próbuję ruszyć ręką i nogą, — nie mogłem. Straciłem na nowo przytomność i zasnąłem twardo. Byłbym może już się nie obudził, jak kilku innych, którzy z nami tam byli, gdy naraz usłyszałem głos: — Czy też pastor żyje? i znowu trochę wróciłem do przytomności. Jęki i płacze znowu słyszałem ze wszystkich stron. W chwili, gdy katastrofa się stała, stałem przy stole i gdy straciłem przytomność, zsunęłem się pod stół i tam pod stołem leżałem na ziemi. Stamtąd wyciągnięto mnie i nacierano mi skronie podobno wodą z deszczu. Tego wszystkiego jeszcze nie czułem. Dopiero gdy mnie postawiono na nogi, zrobiło mi się lepiej. Powietrze na ziemi było duszne, gdym stanął, mogłem lepiej odetchnąć. — Gdzie jesteście? pytałem. — W Koniakowie na cmentarzu w kaplicy — odpowiadano mi. — Cóżże się stało? — Piorun uderzył w kaplicę. Wtedy dopiero przypominałem sobie, że byliśmy na pogrzebie, że nabożeństwo było skończone, lecz zwłok nie odprowadziłem do grobu. Po chwili mogłem podnieść powieki — lecz jakież miałem przed sobą obraz. Na podłodze przedemną leżało kilku dobrych znajomych, wszyscy zabici od uderzenia pioruna. Szczególnie jednego zacnego przyjaciela dobrze pamiętam. Spotkalśmy się u wejścia do kaplicy i przywitali

podaniem dłoni. Ani on, ani ja nie pomyśleliśmy, że to powitanie było zarazem ostatniem pożegnaniem się tu na ziemi.

Ludzie, którzy pozostali przy życiu, narzekali, widocznie cierpieli. Przy mnie, po lewej stronie stała podczas pogrzebu młoda żona, licząca lat 21, teraz leżała martwa. Po drugiej stronie obok mnie stała osoba licząca lat 24, teraz również martwa. Przedemną zabici, wkoło mnie zabici, a ja między nimi ocalony. Prosiłem, by mnie wyprowadzono na świeże powietrze, deszcz bowiem ustał, zawierucha ustała i słońce znowu świeciło spokojnie. Tego obrazu, jaki widziałem, gdy po raz pierwszy oczy otworzył, nigdy nie zapomnę. Zachował się w mej pamięci, jakby obraz fotograficzny. Wyszedszy na świeże powietrze, wspierany przez dwóch ludzi, gdyż o własnych siłach stać nie mogłem, ponownie próbowałem, czy nie zostałem porażony. Mogłem jednak poruszać tak rękoma, jak i nogami, miałem słuch i wzrok nieuszkodzony, tylko oczy okropnie mnie paliły, głównie prawe oko. Gdy trochę przyszedłem do sił, poprosiłem, by zwłoki, które mieliśmy pochować, złożono do grobu, odprawiłem krótką uroczystość i szedłem do powozu. Przechodziłem teraz nie przez kaplicę, lecz obok niej — i tu znalazłem znowu wstrząsający obraz. Stało tam czterech mężczyzn w średnim wieku. W czasie pogrzebu, nie znalazłszy w kaplicy miejsca, poszli tam i oparli się o mur, chcąc się widocznie chronić przed deszczem. Tych wszystkich piorun zabił. Ale choć martwi, stali tak, aż ich wiatr powalił na ziemię.

Piorun wpadł przez wieżę, zabił chłopca stojącego przy dzwonie, wpadł do środka kaplicy wypełnionej po brzegi ludźmi, zabił jednych, pokaleczył drugich, przeleciał koło ściany i murem wyleciał znowu na pole. Na własne oczy widziałem małą dziurkę w murze, jakby igłą przeszył. Tam gdzie piorun wyleciał przez mur, stało onych czterech mężów. Trzynaście osób zostało zabitych, 50 do 60 było więcej lub mniej poranionych, między rannymi byłem i ja. Cudem uszedłem śmierci. Wszyscy ci, co w miejscu stali, zostali zabici. Ja stojąc i każąc na tem ciasnem miejscu, tak samo jak inni, oparty byłem o ścianę. Ale w przerwie po kazaniu odsunąłem się od ściany, by przez okno spojrzeć na walkę żywiołów i w ten sposób uszedłem śmierci.

Kilkanaście tylko osób nie poniosło żadnej szkody. Te wszystkie opowiadały, że ogarnęła je w pierwszej chwili taka trwoga, iż nic nie myśląc, każdy pędził do domu. Niektórzy z nich jednak oprzytomniali i zrozumieli, że trzeba przede wszystkim pomyśleć o zorganizowaniu pomocy niešťęśliwym. Ci wrócili i krzatali się około umarłych, próbując ich jeszcze przywrócić do życia. Jeden z najbliższych sąsiadów cmentarza, poważny mężczyzna i zamożny gospodarz, opowiadał mi, że ogarnęła go taka trwoga, iż jak osza-

lały leciał do domu. W drodze nie myślał nawet o tem, że trzeba nieść pomoc tym, co tam zostali. Dopiero, gdy zbliżył się do domu i trochę oprzytomniał, pomyślał o tem i zaprzagnawszy konie do powozu, pędził do miasta, by przywieźć na miejsce nieszczęścia lekarza. On też przywiózł dyrektora szpitala, który żyjącym udzielił pierwszej pomocy, niestety dla trzynastu była ona już niepotrzebna. Lekarz mógł tylko stwierdzić śmierć od uderzenia pioruna. Niektórych mniej lub więcej okaleczonych kazał odwieźć do szpitala, gdzie powoli wrócili do sił i zdrowia. Trzy albo cztery osoby poniosły ciężkie okaleczenia oczu. Jedna z nich, gospodyni w średnim wieku, w ciągu kilku tygodni tak ociemniała, że musiała szukać pomocy lekarskiej. Wysłano ją na klinikę oczną do Wrocławia, gdzie z obu oczu zdjęto jej szczęśliwie kataraktę. Za pomocą szkieł mogła ta osoba pełnić wszystkie roboty jak dawniej, może nawet i czytać. Tylko na ulicy, albo w zebraniu, nie chcąc nosić szkieł, nie może poznać nikogo.

Gdy ja wróciłem do domu, myślałem, że będę mógł znowu pełnić jak dawniej wszystkie me obowiązki. Niestety okazało się, że miało być inaczej. Skutki pioruna były u mnie poważniejsze, niż pierwotnie myślałem. Oczy moje były jakby w płomieniu, a szczególnie prawe oko bolało mnie nieznośnie. Przyszedł lekarz, badał stan zdrowia, zaglądał w oczy, spostrzegł silne zapalenie, lecz żadnej rany, ni przyczyny cierpienia nie mógł znaleźć. Dał mi kokainy do uśmierzzenia bóleści i kazał czekać dzień lub dwa, oświadczając, że będę musiał wyjechać do Wiednia i poddać się tam leczeniu w celu uniknięcia zapalenia rogówki. Nerwy moje były jednak tak rozstrojone, że sama myśl o podróży sprawiała mi przykrość. Tak męczyłem się przez może 10 dni i nocy, co kilka minut zapuszczając w oko kokainę, bo nie mogłem już znosić bóleści. Wkońcu dowiedziawszy się o klinice profesora Wicherkiewicza w Krakowie, wybrałem się do niego. Profesor zbadawszy gruntownie me oczy, stwierdził pęknięcie rogówki prawego oka, zalał natychmiast oczy moje jakimś płynem, zalepił i zawiązał je, poczem posłał mnie do swej prywatnej kliniki, gdzie musiałem przez 70 godzin leżeć bez ruchu. Pierwszych 12 godzin takiego leżenia sprawiło mi nieopisane męki. Potem bóle ustały i ogarnęła mnie taka senność, że spałem dzień i noc. Po upływie 24 godzin lekarz zdjął zasłonę i z pomocą szkieł obejrzał oko. „Wygrana“ zawołał. „Rana zaczyna się goić.“ Po upływie 70 godzin pozwolił mi lekarz wrócić do domu, kazał jednak zachować zupełny spokój a po upływie miesiąca, wrócić do Krakowa, celem zbadania oka. Zapalenie oka trwało niezmiennie aż do jesieni, ale rana na rogówce zagoiła się i lekarz pozwolił mi zajmować się moją pracą, do czego była

pora najwyższa, bo obaj koledzy moi zachorowali obłożnie. Mogłem teraz pracować, ale niestety zdrowia nie odzyskałem zupełnie. Po pewnym bowiem czasie zaczęło oko zranione tracić siłę widzenia. Badaniem profesor Wicherkiewicz stwierdził, że zaczyna się u mnie tworzyć katarakta, która jednak, jak to po błyskawicach bywa, rozwija się bardzo powoli. Na domiar złego zachorowałem i na cukrzycę.

W tych wszystkich kłeskach nie doznałem ze strony władz kościelnych najmniejszego śladu życzliwości lub poparcia. Rada kościelna sądziła, że spełniła wobec mnie wszystkie obowiązki, gdy kazała mi złożyć ubolewanie. Gdzieindziej umiano pośpieszyć z pomocą, mnie zbyto tylko formalnością.

Tymczasem z powodu wzmaganiania się cukrzycy lekarze polecali mi, bym z wiosną (1907) wyjechał do Karlsbadu, przynajmniej na cztery tygodnie. Jednocześnie otrzymałem od Ewangelickiego Alliansu w Londynie zaproszenie, bym w pierwszych dniach lipca przybył na kilka dni do Londynu, celem wzięcia udziału w uroczystościach jubileuszowych tegoż Alliansu. Był to pewien zaszczyt okazany nietylko mojej osobie, ale i naszemu polskiemu Kościołowi, który tam miałem przedstawiać. Niemców reprezentował ks. dr. Fritz Oberlin z Wiednia. Zaraz z początkiem kwietnia wniosłem do Rady kościelnej w Wiedniu prośbę o 5-cio tygodniowy urlop, celem kuracji w Karlsbadzie i wyjazdu do Londynu. Zastępstwo przyjęli na siebie pastory błędowscy ks. Kubaczka i ks. Mamica. Prosiłem ks. dr. Haasego o poparcie mej prośby, lecz prośby mej nie załatwiono. Zrozumiałem, że nie chciano mi udzielić urlopu z powodu Londynu. Dlaczegoż Polacy mają tam być reprezentowani? Poco taki zaszczyt dla dr. Pindóra? Urlopu nie będzie, wyjechać nie śmie ani do Londynu, ani do Karlsbadu.

Gdy nadszedł czas wyjazdu do Karlsbadu, gdzie miałem zamówione mieszkanie, poszedłem do dr. Haasego, by go prosić o załatwienie sprawy urlopu. Urlopu niema, ksiądz nie śmie wyjechać, chyba na własną odpowiedzialność. — A jakież to skutki może mój wyjazd pociągnąć za sobą? — Złożenie z urzędu — odpowiedział dr. Haase. Usłyszawszy takie słowo, uniosłem się i zawołałem: — Dobrze, złożcie mnie z urzędu, jeśli tak być musi. Ja nie przez lekkomyślne życie lub zabawy nabawiłem się choroby. Gdzieindziej w takich warunkach mógłby chory liczyć na pomoc i jakieś uznanie, wy macie dla mnie tylko złożenie z urzędu. Do widzenia. Oburzony wróciłem do domu i postanowiłem wyjechać choćby bez pozwolenia. Niech mnie złożą z urzędu. Znajdę sobie albo w Anglii albo w Ameryce kawałek chleba. Przeciwno jawnej nienawiści i zawziętości mych przełożonych ja tutaj nic nie wskóram.

Od bezpośredniego mego przełożonego ks. Krzywonia, senjora śląskiego uzyskałem dwutygodniowy urlop i wyjechałem do Karlsbadu. Gdy tam byłem już jakich 12 dni, przyszło od senjora zawiadomienie, że celem odbycia kuracji w Karlsbadzie, otrzymałem pięcioletniowy urlop, poczem jednak powinienem natychmiast wracać do Cieszyna.

Kościół ewangelicki w Cieszynie został założony, dnia 24 maja 1709 r. Zbliżała się tedy 200-letnia rocznica jego założenia. Kościół cieszyński wyglądał w tym czasie na zewnątrz obdarty i zaniedbany, nadchodzący tedy jubileusz wymagał gruntownego odnowienia. Zbór dotychczas o tej sprawie nie myślał, a fundusze jego były wyczerpane. Dwaj starsi pastory chorowali, całe zatem przygotowanie uroczystości spoczęło na moich barkach.

W tym też czasie wypłynęła inna sprawa. Dotychczas było państw. gimnazjum niemieckie umieszczone w gmachu, będącym własnością zborową. Obecnie rząd wybudował dla pomieszczenia gimnazjum nowy gmach. W myśl ugody zboru z rządem, miał zbór obowiązek zwrócić rządowi kwotę 56.000 kor. austr., gdyby albo rząd, albo zbór ugodę wypowiedział. Gdy ugodę tę zawierano, to nikt nie przypuszczał, by kiedy do zerwania umowy przyszło. Wszystkie te trudności zwały się naraz, a ja miałem je usunąć. Postanowiłem z pomocą Bożą dołożyć wszystkich sił, by z kłopotów tych wyjść zwycięsko. Gdyby na ten cel były przygotowane fundusze, to trudności te łatwo byłoby można pokonać; ale funduszków takich nie było. Wobec tego, że nie można też było nakładać większych ciężarów na zbór, chcieliśmy załatwić sprawy drobnymi składkami. Pracy i trosk było więc niemało.

W tym trudnym czasie przyszedł do mnie jeden z najstarszych naszych prezbitarów, p. Szygut, były nauczyciel w Puńcowie i prosił mnie serdecznie, abym dołożył wszystkich sił i nie dał się zniechęcić żadnym trudnościom, gdyż zbór z pewnością okaże mi się za to wdzięcznym. Oświadczyłem, że będę pracował do upadłego, by tylko dopomóc do wybrnięcia z kłopotów. Dokładałem też wszelkich starań, by wywiązać się szczęśliwie z danego przyrzeczenia.

W tym samym czasie, idąc ulicą, spotkałem pewnego przyjaciela jeszcze z ławy szkolnej, który teraz był nauczycielem w okolicy miasta. Jak się masz, Bracie, odezwał się do mnie, a gdym od razu nie odpowiedział, rzekł sam od siebie: Już ja tam wiem, wiedzie Ci się jak cytrynie, z której wycisną ostatnią kroplę, a potem wyrzucą ją na śmiecie. — Przecież, myślałem skonsternowany, tego ze mną nie robią. Miałem teraz dwie przepowiednie, trochę z sobą sprzeczne. Któraż z nich się sprawdzi. . Nie myślałem, że gdy mowa o wdzięczności lub niewdzięczności, to zawsze należy liczyć się z tem, że wygra niewdzięczność.

Odnowienie kościoła postępowało naprzód, pogoda sprzyjała do późnej jesieni. Ludność katolicka żartowała sobie mówiąc: Nie będzie niepogody, aż ci Lutrzy swój kościół oprawią. I tak się też stało. Gdy rozebrano wszystkie rusztowania i kościół stał znowu w pięknej szacie, przyszły wichry, burze, zawieruchy, zapanowała zima.

W marcu r. 1909 zasnął w Panu ks. superintendent Dr. Teodor Haase, nie doczekawszy się jubileuszu kościoła. Zwłoki jego odprowadziliśmy do Bielska, gdzie jego rodzina ma własny grobowiec.

Nastał dzień 23 maja 1909 roku, wigilia uroczystości zboru cieszyńskiego. Goście przybywali ze wszystkich stron. Kościół był ślicznie przyozdobiony, tak samo plac kościelny i całe jego otoczenie. Wieczorem odbywały się dwa zgromadzenia, jedno w sali ratuszowej, drugie w sali Domu narodowego. Dzień 24 maja był słoneczny i miły, przez cały dzień nie było na niebie ani jednej chmurki, piękniejszego dnia nie można sobie było ani życzyć. O piątej godzinie zrana zagrała kapela wojskowa hymn reformacyjny: »Grodem mocnym jest Bóg wieczny«, poczem chór młodzieży polsk. zanucił piękną pieśń: Pan Bóg jest mą siłą. . Śpiew ludzkich głosów był miłszym niż głos trąb, więcej było w nim serca i uczucia. O 6 rano odezwały się dzwony z wieży kościoła i dzwony na wszystkich kaplicach cmentarnych zboru. Z tą chwilą też zaczęły ze wszystkich stron napływać tłumy ludu wiejskiego, przyjeżdżały wozy, wioząc miłych gości ze wszystkich okolic, dojeżdżały pociągi od wschodu i zachodu, od południa i północy, zwyczajne i nadzwyczajne, bo postaraliśmy się o to, by uruchomiono w dniu uroczystości kilka nadzwyczajnych pociągów. O 8 godzinie zrana ogromny kościół był już tak napelniony, że nie można było znaleźć w nim jednego wolnego miejsca. Mieliśmy trudności z umieszczeniem gości. O godzinie 9 rozpoczęło się nabożeństwo niemieckie, przy którym kazanie wygłosił ks. Dr. Schmidt z Bielska. Po niem nastąpiło nabożeństwo w języku czeskim, bo przybyło na uroczystość i sporo Morawian, których przodkowie schodzili się tu niegdyś na nabożeństwa. Kazanie czeskie wygłosił superintendent Dr. Cisař. Po niem nastąpiły nabożeństwa główne w języku polskim, odprawione na trzech miejscach. W kościele kazał ks. Michalik, wtenczas pastor w Mor. Ostrawie, na placu kościelnym ks. Paweł Broda, pastor w Golezowie, na dawnym cmentarzu obok kościoła ks. Jan Boruta, pastor w Starych Hamrach. Po nabożeństwach zgromadzili się liczni goście w sali ratuszowej przy wspólnej uczcie, przy której, jak to bywa, wygłoszono kilkanaście przemówień. Dopiero wieczorem zaczęli się goście na wszystkie strony rozjeżdżać. Ja jako gospodarz całej uroczystości musiałem mieć baczne oko na wszystko, o wszystkim myśleć i dawać mnó-

stwo zleceń. To też, gdy rozjechali się goście i nastąpiła wieczorna cisza, upadłem zmęczony na krzesło, z całego serca dziękując Bogu, że uroczystość wypadła w całości dobrze i pięknie. Nie obyło się bez rozdzwisku, ale rozdzwisk ten nie był jaskrawy. Na ogół wszyscy byli zadowoleni i mieliśmy poczucie, że w tej nawskroś katolickiej Austrii my ewangelicy nie jesteśmy bez znaczenia. Bardzo mnie cieszyło zachowanie się ludności katolickiej, która w tym czasie okazała nam w niejednej sprawie życzliwość, co z podziękowaniem na tem miejscu stwierdzam. Ja miałem uczucie, że znajduje się u kresu mej pracy duszpasterskiej w zborze cieszyńskim. Wykonałem, co mogłem, nie wiem, co dalej nastąpi, ale jedno czuję: już nie pójdę w górę, lecz cofam się w dół. Wyśokość siły już przekroczona — teraz powoli zbliżam się ku wieczorowi. Gdybym dziś zasnął, i więcej nie powstał, to zachowanoby po mnie uprzejme wspomnienie. Co jednak będzie w przyszłości? Ogarnęła mnie jakaś tajemnicza trwoga, gdy pomyślałem o przyszłości. Długoż jeszcze podołam tak pracować, jak dotychczas pracowałem? A co potem będzie? O, jak to rzecz miła, gdy człowiek z psalmistą westchnąć może: W pokoju się położę i zasnę, a Ty, Panie, sprawisz, że bezpiecznie mieszkać będę.

Koniec części pierwszej.



226

Biblioteka Śląska

C

006013

II